Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

GEMMA CIVITATIS • PAX •

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 11 kwietnia 1954 r. Nr (437) 15

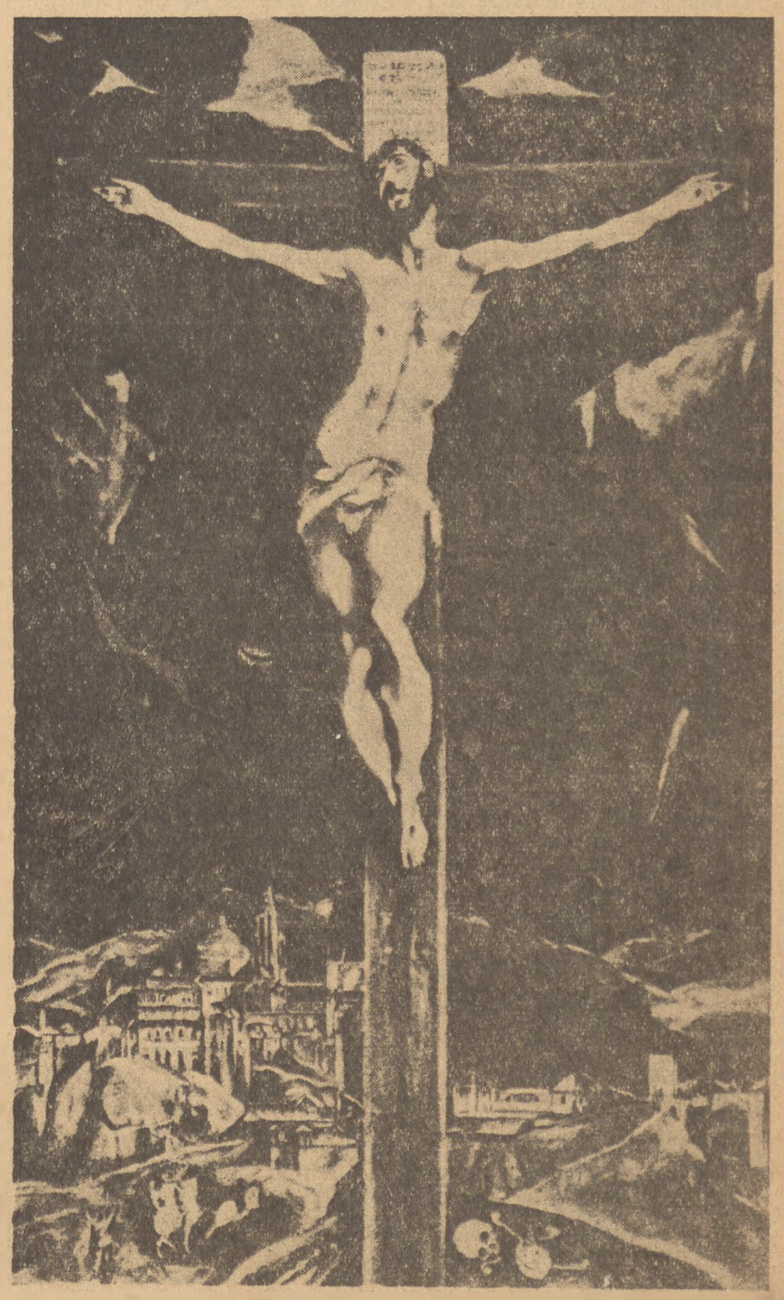

El Greco — Chrystus na krzyżu

Ks. MARIAN MICHALSKI

DWIE HISTORYCZNE FORMY CHRZEŚCIJAŃSTWA

Do wieku XVI-go istniała jedna tylko forma chrześcijaństwa, której wyrazem był wielki, powszechny, katolicki Kościół. Powstawały wprawdzie już w starożytności chrześcijańskiej rozmaite sekty heretyckie: arian, nestorian, monofizytów, pelagian itd., lecz różnice między nimi a wielkim kościołem dotyczyły — poza odrębnością organizacyjną — tylko pewnych (acz nieraz bardzo ważnych) punktów, nie zaś wszystkich podstawowych zasad chrześcijańskiej wiary. Nawet gdy w XI-ym wieku cały Wschód chrześcijański oderwał się pod względem prawno-organizacyjnym od Rzymu i stworzył, obok kościoła rzymskiego, kościół schizmatycko - bizantyjski, zachował on nadal we wszystkich istotnych punktach dawną naukę kościoła katolickiego. Dopiero w wieku XVI-ym, pod wpływem tzw. „reformacji", której głównym przedstawicielem był Luter, duża część chrześcijaństwa zachodniego poczęła naukę Chrystusa interpretować w sposób z gruntu odmienny od sposobu, w jaki ją rozumiano dotychczas. Obok pierwotnej, „katolickiej" formy chrześcijaństwa wyrosła jego forma nowa, zwana „ewangelicką", albo „protestancką", różniąca się od katolicyzmu już nie w jednym czy drugim punkcie wiary chrześcijańskiej, lecz w całym sposobie rozumienia chrześcijaństwa.

Rzecz jasna, nie odrazu zburzył protestantyzm wszystko, co stare. Zaczął na razie od zmiany poglądów na dwa tylko, ale zasadnicze punkty nauki chrześcijańskiej, mianowicie na punkt dotyczący sposobu przekazywania nauki Chrystusa poprzez wieki oraz na punkt dotyczący sposobu, w jaki jednostka wierząca może osiągnąć życie nadnaturalne, wysłużone jej przez Chrystusową ofiarę na krzyżu. Za zmianą interpretacji nauki Chrystusa w tych dwóch punktach poszło w szybkim tempie przekształcenie poglądów również na wszystkie prawie pozostałe prawdy wiary chrześcijańskiej, przede wszystkim zaś na chrześcijańską naukę o kościele i jego roli w życiu chrześcijanina.

Porównajmy naukę katolicyzmu i protestantyzmu w tych dwóch zasadniczych punktach, od których rozpoczęła się różnica ich poglądów.

1) Ziemska misja Chrystusa polegała przede wszystkim na pouczeniu ludzi o ich prawdziwym stosunku do Boga oraz o ich obowiązkach z tego stosunku wypływających. — Według katolików Chrystus kazał swą naukę przechowywać i przekazywać drogą żywej tradycji, powierzając zarazem opiekę nad jej czystością oraz jej interpretację gronu wybranych osób (apostołom i ich następcom), którym przyrzekł w tym celu specjalną swą opiekę i pomoc (dar nieomylności). Część tradycji została z biegiem czasu spisana z natchnienia Bożego w Biblii Nowego Testamentu, która wskutek tego stanowi dla katolika drugie po tradycji źródło wiary. W ten sposób wierzenia katolika podlegają stale kontroli nauczycielskiego urzędu kościelnego (biskupów) regulującego autorytatywnie wiarę całej kościelnej społeczności. Wiara katolika nie jest wyłącznie jego indywidualnym, osobistym przekonaniem, lecz również uczestniczeniem w przekonaniu zbiorowym całej społeczności katolickiej.

Inaczej według protestantów. Według nich istnieje tylko jedno jedyne miarodajne i autorytatywne źródło wiary, mianowicie natchnione Słowo Boże, zawarte w Biblii. Ten sam zaś Bóg, który natchnął do jej napisania świętych autorów, otacza swą bezpośrednią opieką również każdego poszczególnego chrześcijanina czytającego Biblię, czuwając, by odpowiednio jej słowa rozumiał, stosownie do swych duchowych potrzeb. Każdy ewangelik czerpie swe zasady wiary i życia religijnego wprost z Biblii, nie oglądając się na żaden autorytet ludzki — czerpie je tak, jak sam uważa za stosowne, ufając, że sposób, w jaki z Biblii korzysta został mu podsunięty bezpośrednio przez Boga. Wiara ewangelika jest wyłącznie jego sprawą osobistą, nie zaś sprawą społeczną całego kościoła. Wiara jednego człowieka religijnego nie jest zupełnie związana z wiarą innych ludzi religijnych, chyba tylko przez to, że jest ona wiarą w jednego i tego samego Chrystusa. Sędzią i normą wiary jest wyłącznie sam dla siebie człowiek czytający Biblię i na jej podstawie wierzący.

2) Ziemska misja Chrystusa nie ograniczała się jednak tylko do jego roli nauczyciela - objawiciela. Miała ona na celu również odkupienie ludzkości. Przez śmierć na krzyżu będącą ofiarą ekspiacyjną za grzechy całej ludzkości, Chrystus umożliwił ludziom otrzymanie odpuszczenia win, uzyskanie życia nadnaturalnego (łaski) i, co za tym idzie, również szczęścia wiecznego po śmierci. By jednak tę ogólną możliwość zamienić na konkretny, indywidualny fakt, musi każda z osobna jednostka ludzka aktem swej osobistej woli złączyć się w jakiś sposób z Chrystusem, zjednoczyć niejako organicznie swą indywidualną naturę ludzką z naturą Chrystusa - Odkupiciela. Jak jednak to zjednoczenie przeprowadzić? Jak o tym nauczał sam Chrystus?

Według katolickiego rozumienia nauki Chrystusa, jednostka ludzka musi podwójnie zjednoczyć się z Chrystusem jeśli pragnie uzyskać dla siebie skutki Chrystusowej ofiary krzyżowej. Najpierw przez wewnętrzny akt wiary w Chrystusa, tj. uznanie za prawdę wszystkiego, co o Chrystusie głosi cała chrześcijańska społeczność kościelna. Powtóre — przez zewnętrzne uczestniczenie w sakramentalnych obrzędach tejże społeczności (przyjmowanie sakramentów) ześrodkowujących się w sakramencie Eucharystii, a szafowanych rękami tylko pewnych wybranych osób, upełnomocnionych przez kościół do sprawowania funkcji kapłańskich.

Według ewangelików jednostce wystarcza do uzyskania skutków ofiary krzyżowej Chrystusa jedynie zjednoczenie się z Chrystusem przez wewnętrzny akt wiary — wiary pojętej nie tyle jako uznawanie pewnych prawd o Chrystusie, ile raczej jako akt ślepej ufności w skuteczność dzieła krzyża Chrystusowego. W ten sposób każda wierząca jednostka wystarcza sama sobie. Osiągnięcie przez nią życia nadnaturalnego nie jest w niczym uzależnione od całej społeczności kościelnej, jej dogmatów i jej sakramentów. Wierzący nie potrzebuje pośrednictwa żadnego specjalnego kapłana; sam jest dla siebie kapłanem i wiernym (pastor protestancki nie jest bynajmniej kapłanem, lecz tylko nauczycielem i kaznodzieją). Wszystko rozgrywa się wyłącznie i bezpośrednio między jednostką wierzącą a Bogiem. Wymienione tu w najogólniejszych zarysach różnice wyodrębniają wyraźnie katolicyzm od protestantyzmu i zarazem określają charakter każdego z tych dwóch wyznań chrześcijańskich. Chrześcijaństwo ewangelickie jest chrześcijaństwem czysto wewnętrznym i skrajnie indywidualnym. Patrzy ono na człowieka tak, jak gdyby on był tylko czystym, bezcielesnym duchem i jak gdyby jego życie osobiste było zupełnie wolne od wszelkiego powiązania społecznego. W przeciwieństwie do protestantyzmu chrześcijaństwo katolickie jest chrześcijaństwem uzewnętrznionym i uspołecznionym. Uważa ono, że pełne życie religijne może i powinno rozwijać się tylko w pełnym człowieku, tj. obejmować zarówno duchową jak cielesną, zarówno indywidualną jak społeczną stronę natury ludzkiej. Wskazówki na to, iż tak właśnie brał człowieka sam Chrystus, znajduje katolik w Ewangelii.

Nie znaczy to wszakże bynajmniej, jakoby ewangelicy odrzucali w praktyce bezwzględnie wszelkie uzewnętrznienie i uspołecznienie religijnego życia chrześcijanina — jakoby wykluczali wszelkie łączenie się wiernych w prawnie zorganizowaną religijną społeczność oraz wykonywanie przez nich zewnętrznych aktów kultu religijnego. Wiadomo przecież, że protestanci mają swe gminy wyznaniowe (kościoły), swe władze religijne, swe religijne ceremonie itd. Chodzi jednak o to, że przy tym wszystkim zaznaczają oni z naciskiem, iż ani zorganizowana, widzialna społeczność kościelna, ani publiczne obrzędy kultu religijnego nie należą do samej istoty życia chrześcijańskiego, a stąd nie są chrześcijaninowi bezwzględnie konieczne do uzyskania życia nadnaturalnego i zbawienia. Sam Chrystus nie myślał o nich rzekomo wcale. Wprowadzili je dopiero później chrześcijanie, uważając, że dla wielu ludzi zewnętrzne i społeczne formy życia religijnego są bardzo pożyteczne, a niekiedy wprost psychologicznie nieodzowne.

*

Katolikowi, porównującemu własne wierzenia i życie religijne z wierzeniami i życiem swych ewangelickich braci w Chrystusie, nasuwa się mimo woli pytanie: co spowodowało tak daleko idące różnice w rozumieniu jednej i tej samej nauki Chrystusa? Skąd wzięła się obok katolickiej interpretacji chrześcijaństwa jego interpretacja ewangelicka — oraz dlaczego pojawiła się ona i poczęła rozwijać tak późno, bo dopiero po piętnastu wiekach istnienia religii Chrystusowej?

Przyczyn było wiele. Najgłębsza z nich wszakże tkwiła niewątpliwie w sposobie rozwijania się chrześcijaństwa w Europie po wielkiej schiźmie wschodniej (Focjusza i Cerulariusza). Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie ta schizma, nie doszłoby prawdopodobnie do reformacji i powstania protestantyzmu.

Chrześcijaństwo zdobywało od początku wyznawców zarówno pośród ludów Wschodu (Małej Azji, Syrii, Egiptu, Persji itd), jak pośród ludów Zachodu (krajów Europy). Człowiek Wschodu przedstawiał jednak zawsze inny typ psychiczny niż człowiek Zachodu. U człowieka Wschodu przeważało nastawienie emocjonalne i mistyczne; u człowieka Zachodu nastawienie intelektualne i prawnicze. Zgodnie z tym człowiek Wschodu zwracał uwagę na inne momenty w nauce Chrystusa, i inaczej ją przeżywał, niż człowiek Zachodu. Różnica pod tym względem zaznaczała się niemal od samego początku istnienia chrześcijaństwa, w okresie zaś wielkich dyskusji teologicznych, jakie wywiązały się w wieku IV i następnych (na tle herezji arianizmu, nestorianizmu, monofizytyzmu, pelagianizmu), dawała się już dotkliwie odczuwać, zaostrzając nie małe spory zarówno wśród biskupów, jak wśród wiernych.

Dopokąd wszakże Wschód z Zachodem żyły w jakiej takiej zgodzie, oddziaływały one na siebie nawzajem, uzupełniały się i neutralizowały obustronne różnice. Gdy jednak w wieku XI-ym chrześcijańskie ludy Wschodu oderwały się od Rzymu i utworzyły osobny kościół, bizantyjsko - schizmatycki, rzymsko - katolickie chrześcijaństwo zachodnie poczęło żyć i rozwijać się już tylko samo dla siebie, a wraz z tym ulegać coraz bardziej pewnej jednostronności w rozumieniu i przeżywaniu nauki Chrystusa. Zaznaczała się ta jednostronność przede wszystkim w sposobie pojmowania istoty wiary religijnej i istoty kościoła.

Wierzyć — znaczy uznawać coś za prawdę; nie dla tego jednak, że to jest dla rozumu oczywiste, lecz dlatego, że mamy zaufanie do kogoś, kto nam o tym mówi. Wiara jest więc niewątpliwie aktem poznawczym rozumu, ale nie tylko aktem rozumu, lecz również aktem emocjonalnego życia człowieka (uczucia i woli), mianowicie aktem zaufania. Jakkolwiek tego podwójnego elementu w wierze nigdy nie zaprzeczali teoretycznie chrześcijanie zachodni, to jednak jako intelektualiści z natury, poczynali w praktyce coraz silniej i zarazem coraz wyłączniej podkreślać rozumowy charakter wiary, a spychać w cień jej charakter emocjonalny. W rezultacie wiara poczynała w oczach przeciętnego chrześcijanina zachodniego przybierać coraz bardziej postać jakiejś „filozofii nadnaturalnej", a zatracać postać aktu zaufania człowieka Bogu.

Podobnemu zacieśnieniu ulegało na Zachodzie również pojmowanie Kościoła. Człowiek religijny rozumie przez Kościół zawsze zespół ludzi wierzących, zjednoczonych zarówno więzią duchową, wspólnej wiary i wspólnego uczestnictwa w jednym i tym samym życiu nadnaturalnym, jak więzią materialną, w postaci zewnętrznych form prawno - organizacyjnych (władzy, przepisów, prawnych itd). Stąd to już św. Paweł podkreślał, że kościół chrześcijański jest „mistycznym ciałem Chrystusa" i jako takie właśnie ciało jest on również tworem widzialnym, organizacyjnie zróżniczkowanym. — Nie zapominali o tym wprawdzie w teorii chrześcijanie Zachodu. Niemniej jednak, jako ludzie mniej czuli na sprawy mistyki, a za to skłonni do ujmowania wszystkiego w sposób prawniczy, podkreślali, zwłaszcza od czasu schizmy wschodniej, coraz silniej i wyłączniej zewnętrzną, prawno - organizacyjną stronę kościoła i jego charakter jako instytucji religijnej, spychając w cień coraz bardziej jego stronę wewnętrzną, duchowo - mistyczną. Niemało sprzyjała tej jednostronności okoliczność, iż przez całe niemal średniowiecze chrześcijanie Zachodu opanowani byli myślą zbudowania „królewstwa Bożego na ziemi", tj. połączenia kościoła z państwem w jeden wielki, światowy organizm, zlania w jedną wielką, prawnie zorganizowaną całość życia religijnego z życiem świeckim. Rezultatem jednostronności w pojmowaniu kościoła, było coraz bardziej uwidaczniające się spłytczenie życia religijnego wśród szerokich mas chrześcijańskich. Religię poczynano pojmować coraz bardziej jako czysto prawny stosunek człowieka do Boga, jako sumę obowiązków względem Boga, wyrażaną nazewnątrz przez skrupulatne wypełnianie przepisów kościel-

Dokończenie na str. 4

Z hymnów wielkopostnych

O SOL SALUTIS

Słońce zbawienia — o Chryste,
Daj sercom jasne świtanie,
Gdy zorze niecąc ogniste
Dzień z nocy ciemnej powstanie.

Czas łaski Twojej — czas błogi
Niechajże kornych łez falą
Uderza w serc naszych progi
Spraw niech miłością się palą.

Potokiem, gdzie grzech bytował,
Łzy bujnie niechaj popłyną,
Rózga pokuty — niech co dnia
Serc naszych strzeże przed winą.
Dzień idzie — dzień Twój przebłogi,
Co ziemię kwieciem zaściele,
Na cnoty prowadząc drogi
Wróć sercom dawne wesele.

Pieśnią pokorną się mieni
Świat — Trójco, sławiąc Cię cały,
A my do życia zbudzeni
Wzniesiemy nowy śpiew chwały.

opracował Mikołaj Bieszczadowski

Ten hymn powstał z pieśni zaczynającej się od słów: Iam Christe, Sol justitiae. W rękopisach znajdujemy go od IX wieku.

AUDI BENIGNE

Usłysz wołanie, Stwórco nasz łaskawy,
Wysłuchaj szlochu głoszącego smutek,
Co w czas tych postów i dla świętej sprawy
Przez dni czterdzieści do serca zastuka.

Najświętszy Władco nasz i Panie Niebios,
Co znasz serc naszych najskrytsze głębiny
Tym, co do Ciebie po ratunek spieszą,
Zechciej odpuścić niezliczone winy.

I chociaż grzechów brzemię tak niemałe
Przyjmij pokorne i szczere wyznanie
W Imię Twej wielkiej, nieskończonej chwały
Błądzących zechciej uratować, Panie.

Te posty długie, tak dla ciała żmudne
Niechaj nas ćwiczą doskonaląc w skrusze
Bo serca nasze ciężar win chcą zrzucić
I grzechów, które zaciemniały duszę.

O spraw to, Trójco Święta i łaskawa,
Spraw to Wszechwładco nasz i Święty Boże,
Aby ten post jak droga prawa
Wiódł ku zbawieniu nas w każdej porze.

Opracował Mikołaj Bieszczadowski

Autorem tego hymnu jest, jak się zdaje, Papież Leon Wielki. W rękopisach hymn znajdujemy już od X wieku.

Prasa francuska donosi:

KATOLICY AMERYKAŃSCY!

najwyższy czas aby zdemaskować zakłamanie Mac Carthy'ego

Artykuł pod tak wymownym tytułem opublikował francuski tygodnik katolicki „Temoignage Chrétien". Jakkolwiek przeznaczony on był przede wszystkim dla społeczeństwa francuskiego, podajemy go poniżej w całości, ponieważ daje on ciekawe, a równocześnie krytyczne oświetlenie działalności Mac Carthy'ego i podkreśla, jak poważne niebezpieczeństwo stanowi ona dla Stanów Zjednoczonych. Jest rzeczą niezwykle tragiczną, że wśród zwolenników senatora z Wisconsin znajduje się wielu katolików. Powodowani w przeważającej części ambicjami osobistymi — ludzie ci zostali wprzęgnięci w służbę najbardziej zgubnej sprawie. Przykład dają im, niestety, niektórzy przedstawiciele hierarchii katolickiej, którzy — jak na przykład sławny już ze swej antykomunistycznej działalności biskup Sheen — wzywają do krucjaty mającej jakoby odnowić świat „oddzielając prawdziwe złoto od zanieczyszczeń".

Minione dwanaście miesięcy przyniosły niestrudzonemu „łowcy czarownic" i początkującemu dyktatorowi, Mac Carthy'emu, ogromne sukcesy. Nie tylko wszystkie ataki wymierzone przeciw niemu, ale nawet jego własne błędy i potknięcia obracały się na jego korzyść. Tak na przykład rzucone ostatnio przez niego obelgi pod adresem pastorów protestanckich powinny były spowodować jego zgubę, doprowadzając do stworzenia wielkiej koalicji. Do tego jednak nie doszło, bo... koalicja potrzebuje wodza.

Wódz ten nie wystąpił także wtedy, gdy z kolei oskarżono wojsko. Toteż odznaczony wielu orderami amerykańskimi generał Zvicker, który na polu walki w Normandii zdobył też między innymi Order Legii Honorowej i Medal Wojskowy z palmami, bezkarnie mógł zostać uznany przez Mac Carthy'ego za nieudolnego i niedołężnego, co w Pentagonie wywołało jedynie zdezorientowanie i nieme potępienie. Prezydent Eisenhower jako głównodowodzący sił zbrojnych wolał raczej uciec się do dość niejasnych wypowiedzi niż stawić czoło demagogowi w Wisconsin.

Ten ostatni ma w swym ręku jeden wielki atut: są nim nadchodzące wybory, które w listopadzie br. odnowią trzecią część Senatu i Izbę Reprezentantów. Otwarty konflikt między prezydentem Eisenhowerem a senatorem Mac Carthy osłabiłby partię republikańską w kampanii wyborczej. W tym samym czasie jednak kapitulacja władzy wykonawczej przed ostatnimi wybrykami Mac Carthy'ego stworzyła korzystną sytuację dla partii demokratycznej, która przegrupowała swe siły przed rozpoczęciem walki na nowo.

Jakkolwiek bezcelowe są próby przepowiadania wyników wyborów — jedno jest pewne: czy obecna większość zostanie obalona czy też nie — prestiż osobisty i dominujący wpływ Mac Carthy'ego na partię republikańską wzmógł się gwałtownie. Poza wykorzystywaniem psychozy antykomunistycznej, którą posługuje się zręcznie Mac Carthy, odkrył on innego „konika", dzięki któremu odnosi nowe sukcesy.

KOMPLEKS „POKRZYWDZENIA"

TEGO „konika" Amerykanie nazywają kompleksem „pokrzywdzenia". Wykorzystywanie go daje młodemu demagogowi z Wisconsin dwa wielkie atuty: pieniądze i zorganizowanie zwolenników.

Pieniądze zdobywa on od ludzi nowowzbogaconych, którzy dzięki wojnie bardzo szybko doszli do fortuny. Są to ludzie z drobnego przemysłu, nawet zwykli rzemieślnicy i różni handlarze. Zdobyli oni wielkie sumy pieniężne dzięki rozwojowi produkcji zbrojeniowej, która wprawdzie osłabła w 1945 roku, lecz wzrosła później z powodu wojny w Korei. Poza tym trudności w korzystaniu z nafty Bliskiego Wschodu podczas wojny wywołały niebywały okres prosperity dla nafty w Texasie. W tym też stanie mieszka większość ludzi finansujących Mac Carthy'ego, opiekunów takich jednak ma on po trochu wszędzie, od Atlantyku aż do Kalifornii. Subwencjonują oni kampanie wyborcze, radiowe, i prasowe. Starają się oni wywierać wpływ na opinię publiczną w proporcji do swej potęgi ekonomicznej. Ich ambicją w kraju, gdzie króluje pieniądz, jest udział we władzy, której nie posiadają, na miarę swoich ambicji. Mac Carthy, syn skromnego farmera, który jedynie dzięki sile swych pięści zdobył godną pozazdroszczenia władzę, uznany został za męża opatrznościowego mogącego służyć ich planom.

Jak oni, parwenjusz, jak oni, szorstki, ambitny, brutalny, inteligentny, prawie nieokrzesany, ulegający bez skrupułów najniższym namiętnościom i najostrzejszym niechęciom — czyż nie jest człowiekiem jakiego potrzebowali?

NOWOCZESNY ŚWIĘTY JERZY

DLA przeciętnego Amerykanina niebezpieczeństwo komunizmu nie jest dzisiaj większe niż było przez długie lata. Komisje śledcze nadały mu obecnie bardziej niepokojące, bo już lepiej znane oblicze: urzędnika Departamentu Stanu, profesora nie-konformisty, pracownika laboratorium. W tym celu bez dowodu skazano Juliusza i Ethel Rosenbergów. Działanie tej psychozy jest już dobrze znane.

Tymczasem zachodzi jeszcze jedno poważniejsze zjawisko, które przysparza Mac Carthy'emu najgorliwszych zwolenników. Tak jak klasa nowowzbogaconych, o której mówiliśmy — katolicy amerykańscy także odczuwają kompleks „pokrzywdzenia". Dość długo ograniczani przez większość protestancką pragną stać się czymś więcej niż tylko obywatelami drugiej klasy. Czują się upokorzeni, że nigdy nie mogli wysłać jednego ze swych współwyznawców do Białego Domu. Również katoliccy członkowie Izby Reprezentantów i Senatu należą do wyjątków. Mimo kilkakrotnych prób oni również nie zdołali stworzyć jakiegoś poważnego dziennika. A przecież są świadomi swej siły, swej stale rosnącej liczby (około 20 milionów), wspaniałego rozwoju swych szkół i uniwersytetów oraz swego osobistego powodzenia. Siła ta jednak nie uzewnętrznia się w życiu politycznym ani w rządzących kołach Waszyngtonu. Mac Carthy jest pierwszym katolikiem amerykańskim, który zdobył stanowisko polityczne i rozgłos w kraju i w świecie. Podobnie wielu katolików francuskich od dawna marzy o „pogodzeniu katolicyzmu z polityką", aby w przyszłości ze świadectwem chrztu w ręku dojść do władzy...

Jak można dziwić się tej fali, która niesie katolików amerykańskich ku dynamicznemu senatorowi, przed którym po kolei kapitulują uniwersytet, dyplomacja i armia? Cóż z tego, że jego demagogia zezwala na najgorsze oszczerstwa skierowane przeciwko tygodnikowi „Commonweal", który w Stanach Zjednoczonych prowadzi pracę podobną do naszej? Zresztą, czy Mac Carthy nie posiada aprobaty najwybitniejszych prałatów?

W zeszłym roku na konferencji w Brukseli Jego Eminencja kardynał Spellman ujawnił starej Europie nadzieje, jakie młody katolicyzm amerykański wiąże z Mac Carthy'm, który zresztą należy do najsilniejszej organizacji katolickiej w Ameryce — „Stowarzyszenia Rycerzy Kolumba". Organizacja ta grupuje ponad dwa miliony zwolenników. Jest to swego rodzaju tajne stowarzyszenie stworzone niegdyś po to, aby stawić czoło masonerii, na której się zresztą wzorowało. Członkowie jego uroczyście przyjmowani — po wtajemniczeniu przyrzekają sobie trwałą i wzajemną pomoc. Dzienniki diecezjalne, których wiele jest w Ameryce, również podjęły akcję senatora. Dzięki ich wpływowi katolicy są gotowi wziąć udział w krucjacie, która ich podnieca i w której nie dostrzegają zgubnych aspektów. Zgromadzeni pod sztandarem sił Dobra sądzą, że rzucają się w wir niszczycielskiej walki przeciwko siłom Zła, to znaczy przeciwko komunistom, których jego Eksc. Msgr John Fulton Sheen — teolog i wielki kaznodzieja — przedstawił w telewizji jako „Antychrysta". Cóż z tego, że Joe Mac Carthy — nowoczesny święty Jerzy — zwalając z nóg smoka nie używa broni dzieci światłości? Cóż z tego, że ucieka się on do oszczerstwa, przemocy i nienawiści? Gdy napisano, że Europa wydobrzymia niebezpieczeństwo maccarthyzmu, prasa amerykańska bardzo się oburzyła.

„New York Times" zarzuca prezydentowi Eisenhowerowi, że nie odparował natychmiast ataku Mac Carthy'ego obawiając się o jedność partii republikańskiej.

„Lecz cena tej jedności — pisze dziennik — jest z pewnością zbyt wygórowana, jeżeli trzeba, aby kierownictwo partii milczało, kiedy zapomina się o tradycyjnych zasadach sprawiedliwości kiedy zasady przesłuchiwania świadków są gwałcone, kiedy uczciwi ludzie są usuwani z zarządu, kiedy terror paraliżuje służbę rządową tak ważną jak Departament Stanu i Departament Obrony".

ANDRZEJ MICEWSKI

O przekonaniach społeczeństwa

PIERWSZE dziesięciolecie istnienia Polski Ludowej dobiega końca. Jest to okres wielu analiz i podsumowań w zakresie naszej sytuacji wewnętrzno - politycznej.

Rzecz jasna, że sytuacja wewnętrzna każdego narodu posiada rozliczne i różnorakie związki z sytuacją międzynarodową. Nie chcemy tu jednak nawiązywać bezpośrednio do zagadnienia, w jakim zakresie sytuacja wewnętrzna naszego kraju jest funkcją sytuacji międzynarodowej, choć naturalnie, w najogólniejszych nawet rozważaniach nad sytuacją wewnętrzną, trzeba będzie nieraz uciekać się do tłumaczenia czy uzasadnienia pewnych zjawisk wewnętrznych przesłankami międzynarodowymi.

Życie wewnętrzne narodu jest zespołem najbardziej różnorodnych i wzajemnie powiązanych elementów. Na obraz życia wewnętrznego każdego narodu składają się jednak w sposób konieczny co najmniej dwa czynniki. Pierwszy czynnik stanowią procesy ekonomiczno - społeczne, przebiegające przez kraj, drugi zaś — przekonania mas społecznych. Oczywiście te dwa elementy nie wyczerpują zagadnienia. Nie mieszczą się w nich choćby tak podstawowe dziedziny życia wewnętrznego narodu, jak zagadnienie kultury, wychowania, szkolnictwa itp. Jednakże analiza tych dwóch czynników sytuacji wewnętrznej, jakimi są procesy gospodarcze i świadomość społeczna, czyli przekonania mas, pozwala w dużym stopniu zrozumieć życie wewnętrzno - polityczne narodu. I odwrotnie bez uwzględnienia analizy tych dwóch podstawowych czynników nie można mieć żadnego, choćby powierzchownego poglądu na sytuację wewnętrznopolityczną narodu.

PODSTAWY GOSPODARCZE

JEST faktem, że więcej się u nas mówi i pisze o bazie ekonomicznej kraju, o procesach i rozwoju gospodarczym, niż o sprawach świadomości społecznej. Jest to naturalne, gdyż na odcinku społeczno-ekonomicznym najwięcej powstaje faktów dostrzegalnych. W mijającym dziesięcioleciu zostały przeprowadzone reformy społeczne, to jest nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna, nastąpił gigantyczny rozwój przemysłu, oraz zapoczątkowano przemianę gospodarki wiejskiej na zespołową. W całym życiu gospodarczym najbardziej objawiają się skutki niebywałego rozwoju znacjonalizowanego przemysłu. Podstawowym skutkiem jest całkowita przemiana struktury kraju z rolniczej, lub rolniczo - przemysłowej na przemysłowo - rolniczą, w związku z czym nastąpiło ogromne przemieszczenie ludności, której większość mieszka dziś w mieście, a nie na wsi. W dalszej konsekwencji dokonane przemiany społeczno - gospodarcze doprowadziły do zapoczątkowania znamiennego procesu. Obserwujemy coraz wyraźniejszy zanik różnic ekonomicznych o charakterze klasowym i konsolidację społeczeństwa na drodze tworzenia jednolitego socjalistycznego narodu.

UŁATWIONA PROPAGANDA

W rozważaniach naszych chcemy zająć się szczególnie problemem przekonań społeczeństwa.

Natrafiamy tu na pewien paradoks, na dwie diametralnie sprzeczne oceny. Istnieje publicystyka, która często ułatwia sobie zadanie, formułując problematykę w taki sposób, jakby wszyscy byli już przekonani co do każdego szczegółu wielkich celów i drogi Polski Ludowej. Mówi się w takiej publicystyce o konkretach dnia, mówi się zresztą w sposób ciekawy i przekonywający, ale publicystyka ta nie zadaje sobie trudu uogólnienia, by trafić do ludzi posiadających jeszcze wątpliwości. Czasami czytając gazetę czy tygodnik można odnieść wrażenie, że w ogóle w Polsce nie ma ludzi, którzy napotykaliby na trudności i wątpliwości ideologiczne. Każdy objaw takiego ujmowania problematyki ideowo-politycznej jest przejawem złej, bo niekomunikatywnej, a więc nieskutecznej propagandy. Ten rodzaj propagandy lekceważąc treść operuje też łatwizną formy. Powszechne jest narzekanie na szablonowy język publikacji. Zwrócili na to uwagę ostatnio marksiści. W nr 1 (55) „Nowych Dróg" ze stycznia 54 r. czytamy w artykule Romana Werfla pt. „O ściślejszą więź teorii z praktyką", co następuje: ...*„sprawa języka w naszej pracy ideologicznej, posiada szczególnie doniosłe znaczenie. Jest to zagadnienie dotarcia do wielomilionowych mas ludzi pracy, jest to zagadnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego, i Frontu Narodowego. Język sztywny oderwany od rzeczywistości, nie przemawiający do umysłu i serca czytelnika czy słuchacza, osłabia działanie naszej pracy ideologicznej, utrudnia docieranie do mas, ułatwia elementom wrogim sabotowanie tej pracy"*. „Nowe Drogi" w wymienionym artykule cytują także wypowiedzi prasy radzieckiej i prasy węgierskiej na poruszony temat.

ZASADNICZA POMYŁKA

ISTNIEJE także drugi, całkowicie mylny, ale w pewnych kołach konserwatywnych uparty pogląd na sprawę opinii społecznej. Pogląd ten wyraża się w postaci lansowanej przez wrogą propagandę Zachodu tezy o istnieniu „99 proc. reakcjonistów" w Polsce. Trzeba frontalnie uderzyć w tę tezę.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat na orientację i poglądy naszego społeczeństwa wpływały zupełnie zasadnicze czynniki. Wbrew wytwarzanej przed wojną i w czasie okupacji atmosferze okazało się, że najbardziej dynamiczną siłą międzynarodową jest ZSRR i że to państwo właśnie, a nie kto inny, pokonało hitleryzm i wyzwoliło Polskę. Następnie całe dziesięć lat powojennych, to nieprzerwany obraz rozwoju i sukcesów obozu socjalistycznego, poprzez powstanie krajów demokracji ludowej, wyzwolenie wielkich Chin Ludowych i zwycięstwa socjalno-polityczne wśród ludności państw kapitalistycznych, aż do sukcesów politycznych na arenie międzynarodowej. Zjawiska te musiały wywrzeć wpływ na sposób myślenia każdego choćby najbardziej nieupolitycznionego człowieka. Dokonane przemiany gospodarcze w Polsce nie mogły też pozostać bez wpływu na sposób myślenia jej obywateli. Ludzie, którzy przeszli ze wsi do miasta, przeżywają prawdziwą rewolucję pojęć. Także miliony ludzi, które pracowały w mieście w małym prywatnym przemyśle, po przejściu do wielkiego, b. często ciężkiego przemysłu, zmieniwszy całkowicie warunki pracy i otoczenia, musiały zmienić wiele pojęć. Weźmy dla przykładu klasę robotniczą, a szczególnie jej młodzież. Młody robotnik przed wojną był zdany na łaskę i niełaskę właścicieli fabryk, na kapryśny majstrów, reprezentujących interesy fabrykantów. Obecnie młody robotnik jest poza swoją indywidualną pracą zaangażowany w całokształt problematyki zakładu produkcyjnego. Przez radę zakładową, podstawową organizację partyjną, akcję współzawodnictwa, ma on ogromne szanse oddziaływania. Ma wielokrotnie zwiększone możliwości awansu, zwiększoną niezależność, możność większego niepomiernie rozwoju osobowości. Musiało to wywrzeć wpływ na jego sposób myślenia, a także na jego stosunki z innymi robotnikami. Takie przykłady moglibyśmy mnożyć w każdej dziedzinie życia. Toteż musimy konsekwentnie dojść do przekonania, że nie sposób analizować nastrojów społeczeństwa — jak to czynią owi konserwatywni zwolennicy tezy „99 proc. reakcjonistów" — nie uwzględniając, jako podstawowego kryterium czynnika klasowego. Posiłkując się natomiast kryterium przynależności klasowej, biorąc także pod uwagę czynniki terytorialne, czynnik struktury wieku itp. będziemy się zbliżali do coraz bardziej obiektywnego poglądu na temat przekonań społeczeństwa.

PRAWDA O PRZEKONANIACH MAS

PRAWDA więc o przekonaniach społeczeństwa nie jest ani prosta ani jedna. Jest ona złożona, tak jak złożona jest struktura społeczeństwa, będącego na drodze do jednolitego narodu socjalistycznego, ale znajdującego się jeszcze w stadium, kiedy istnieją podziały i różnice klasowe.

Trzeba jednak dla pełniejszego obrazu tę prawdę o przekonaniach społeczeństwa jakoś zobiektywizować i ujednolicić. Wydaje się, że trafnie ujmiemy to zagadnienie sprowadzając je do następującej tezy.

Poważna większość naszego społeczeństwa w istocie swoich przekonań aprobuje rzeczywistą treść ludowego porządku w Polsce w sposób w pełni lub w części świadomy, niezależnie od powierzchownych nastrojów, pozornych zastrzeżeń, a nawet nieprzemyślanych wypowiedzi. Przez rzeczywistą treść ludowego porządku w Polsce, rozumiemy w tej fazie, to wszystko, co stanowi podstawowe założenia naszego socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Wyłączamy z pojęcia tej rzeczywistej treści ludowego porządku, to wszystko, co jest błędem i niedoskonałością w naszym kraju, co będzie stopniowo zanikać, oraz to wszystko, co może tworzyć przedmiot dyskusji, co nie stanowi imponderabiliów podstawowych założeń ustroju i władzy w Polsce Ludowej.

Teza wyżej sformułowana wyraźniej się uwypukla na przykładach. Spróbujmy np. robotnikowi przypomnieć dawne warunki płacy, mieszkania, trudności w otrzymaniu stałej pracy, brak opieki społecznej przed wojną. Na pewno nie będzie pragnął powrotu tych czasów, podobnie jak chłopak ze wsi, który poszedł do pracy w Nowej Hucie czy w przemyśle na Ziemiach Zachodnich, nie chce powrotu do przedwojennego przeludnionego gospodarstwa ojca, w którym brak było chleba, ubrań, a nawet zapałek.

I tak wygląda obiektywna sytuacja. Ludzie w Polsce narzekają na te czy inne warunki, nie odpowiada im jeszcze dużo, czasem nie rozumieją sensu zadań ustrojowych, częściej jeszcze słusznie gniewają ich błędy, zaniedbania, biurokracja i podobne plagi społeczne. Ale ci wszyscy ludzie — oczywiście z wyjątkiem byłych posiadaczy środków produkcji, bo nie o nich tu mowa, a o najszerszych masach społeczeństwa — obserwując rozwój przemysłu, wzrost dobrobytu narodu i jego znaczenia, nie mogą nie aprobować rzeczywistej treści ludowego porządku w Polsce.

CO ZWALNIA PROCES?

OCZYWIŚCIE istnieją pewne zjawiska, które ludzie konserwatywni mogą nadużywać w celu zniekształcenia obrazu opinii społecznej. Chodzi mianowicie o to, że z wszelką pewnością świadomość społeczna mas nie nadąża w pewnym stopniu za aktualnym przebiegiem przemian gospodarczo-społecznych. Rewolucja bowiem jest dokonywana przez najbardziej uświadomioną część klasy robotniczej w sojuszu z chłopstwem i we Froncie Narodowym z całym narodem.

Tak więc weźmy np. znów klasę robotniczą, która w ustroju kapitalistycznym była najbardziej pokrzywdzoną częścią społeczeństwa, bo nie posiadała żadnych narzędzi produkcji, była więc całkiem zdana na łaskę i niełaskę posiadaczy. Otóż ta najbardziej pokrzywdzona w tamtym ustroju klasa społeczna, z natury rzeczy ponosi największe ciężary budowy nowego porządku społecznego. Dzieje się to dlatego, że ta klasa jest w tym ustroju najliczniejsza i przed nią postawione są najcięższe zadania budownictwa i największe wyrzeczenia. Trzeba sobie wyraźnie zdawać sprawę, że rewolucja socjalistyczna wobec własnej swojej bazy społecznej stosuje politykę heroiczną. Głęboka taż treść mieści się w zdaniu, że klasa robotnicza jest klasą bohaterską w rewolucji, na co może zbyt mało zwracamy powszechnie uwagi.

Konieczność heroizmu w budowie nowego ustroju wywiera z wszelką pewnością wpływ na świadomość klasy robotniczej. Robotnik jadący na wczasy, robotnik leczony bezpłatnie, czy też robotnik otrzymujący nowe mieszkanie i wiele innych świadczeń nowego porządku społecznego, osobiście doświadcza korzyści tego porządku. Ale rzecz prosta, że to osobiste doświadczenie z korzyści ustroju socjalistycznego będzie stale rosło i wpływało na rozwój świadomości klasy robotniczej, w miarę, jak heroiczne wysiłki tej klasy i całego narodu zaczną przynosić coraz większe wyniki, jak dzięki tym wysiłkom stworzone zostaną podstawy dobrobytu. Podstawy dobrobytu to przede wszystkim stworzenie ciężkiego przemysłu. Pierwszy etap w tej dziedzinie mamy już za sobą. Następny etap to walka o podniesienie stopy życiowej ludności. Im dalej procesy te będą postępowały, tym bardziej ludzie pracy w Polsce będą się przekonywali o słuszności naszego ustroju, tym głębsza będzie przemiana ich świadomości.

PRZEMIANA ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ CHŁOPÓW

PODOBNIE mają się rzeczy na odcinku przekonań ludności wiejskiej. Chłop przed wojną, w złych warunkach ustrojowych ponosił także konsekwencje niesprawiedliwego ustroju. Chłop mało i średniorolny miał wprawdzie ziemię, to jest miał swoje własne środki produkcji i w tym sensie jego położenie było lepsze niż położenie robotnika, ale praca jego była podobnie jak praca robotnika wyzyskiwana. Wieś dotknięta była ukrytym bezrobociem, spowodowanym przeludnieniem gospodarstw jednorodzinnych.

Po wojnie nastąpiły na wsi wielkie zmiany. Najważniejsza z nich, obok reformy rolnej i parcelacji, był zanik ukrytego bezrobocia, odpływ ludzi do rozbudowującego się przemysłu. Na wieś zawędrowała opieka zdrowotna, oświata i kultura. Jednakże konieczność budowy nowego, sprawiedliwego ustroju postawiła i przed wsią wielkie zadanie. Rozpoczął się niezwykle ważny dla zacofanej gospodarczo i technicznie wsi, proces powstawania spółdzielczości produkcyjnej, która obejmuje już dziś 7,4 proc. uprawianej ziemi. Ten niezwykle korzystny, szczególnie, jak już wspomniałem, dla polskiej zacofanej wsi proces nie przebiega jednak bez pewnych wstrząsów, wymaga bowiem przezwyciężenia uwarunkowań psychologicznych chłopa, wymaga walki klasowej z kułakiem, z większą własnością na wsi, która nie tylko nie rezygnuje z własnych pozycji, ale usiłuje przeciągnąć na swoją stronę własność średnią.

Otóż te konieczności na wsi, wynikające z walki o nowe jej oblicze, o gospodarkę zespołową, otwierającą chłopu prawdziwie godne człowieka warunki życia, łączą się jeszcze z dalszymi okolicznościami. A mianowicie szybki rozwój znacjonalizowanego przemysłu przy jednoczesnej przewadze indywidualnych gospodarstw na wsi, stwarza na pewnym etapie niewspółmierność w rozwoju przemysłu i rolnictwa, dysproporcję, na którą trzeba zwrócić uwagę.

Uwzględnienie tego czynnika nie zmienia jednak istotnego układu stosunków, a tym bardziej nie zaciera wyraźnej różnicy między stanem wsi przedwojennej a stanem obecnym. Chcąc to zrozumieć, wystarczy dobrze poznać życie jakiejś wsi przed wojną i życie tej samej wsi obecnie. Jeśli spotkamy na tej wsi gospodarza małorolnego, gospodarującego indywidualnie, który waha się wstąpić do spółdzielni, a nawet jest do niej wręcz wrogo nastawiony, spróbujmy mu dokładnie, ze znajomością rzeczy przypomnieć jego warunki życia przed wojną, kiedy to musiał dzielić nawet ową przysłowiową zapałkę.

Z tych oto porównań i z analizy warunków przemiany i rozwoju wsi polskiej wyniknie jasno potwierdzenie naszej tezy także w stosunku do wsi. Na wsi bowiem w sposób mniej lub bardziej uświadomiony aprobuje się już w gruncie rzeczy *rzeczywistą treść ludowego porządku* w naszym państwie. Niezależnie od tego, jest faktem, że na wsi trwa zacięta walka ideologiczna, że obok entuzjazmu dla nowych form życia znajdujemy wrogość wobec nich, a także poważny procent wahania, rezerwy i namysłu. Namysł ten może przynieść tylko jeden wynik, wynik podyktowany przez dowody faktów, takich jak sukcesy i rozwój spółdzielczości, jak rozwój kultury, stały wzrost dobrobytu. I w tym świetle widzimy w całym bankructwie tezę wstecznictwa, tezę niesłychanie lansowaną przez radio i propagandę zachodnią, że w naszym kraju jest „99 proc. reakcjonistów". Teza ta jest szczególnie przez wrogie rozgłośnie radiowe wysuwana w stosunku do ludzi pracy w Polsce, do klasy robotniczej i chłopstwa, co jest oczywiście demagogią na najwyższą skalę. Demagogia ta jednakże na nic się nie zda, bo prawda nie przemawia słowami pozorów i nietypowych, a uogólnianych przykładów, natomiast przemawia wymową osiągnięć, które rzucają się w oczy w naszym kraju.

ZAGADNIENIE ŚWIATOPOGLĄDOWE

W związku z nastrojami panującymi w naszym społeczeństwie, różne koła powołują się często na zwolenników światopoglądu katolickiego, w intencjach zresztą dość przejrzystych, z uwagi na to, że przemianami społeczno - gospodarczymi w Polsce kierują marksiści. W związku z tym obszernym zresztą problemem mieszania religii i polityki i wykorzystywania jednej dla celów drugiej, musimy poczynić kilka uwag, które są konieczne dla dopełnienia naszych rozważań.

Po pierwsze musimy zauważyć, że panuje dużo nieporozumień w określeniu postawy katolickiej. Abstrahując już od naiwnie obskurantckiego lub też cynicznego mieszania niezmiennych prawd religijnych i wiecznej instytucji Kościoła ze zmiennymi pojęciami politycznymi upadającego ustroju, chcemy sprecyzować na kogo można się powoływać mówiąc o ludziach z przekonaniami katolickimi. Stan posiadania katolicyzmu w Polsce trzeba bowiem oceniać rzetelnie, jeśli ma się troskę rzeczywistą o religijność ludzi, a nie o pewne cele polityczne. Otóż religijności w Polsce niestety nie można mierzyć, jak to czynią niektórzy, pełnymi Kościołami wiernych, jakkolwiek rozumiejąc prawa Ła-

Dokończenie na str. 6

Notatnik polityczny

W walce o pokój światowy

ZWIĄZEK Radziecki wystosował w dniu 31 marca br. notę do rządów Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W nocie tej rząd radziecki wyraził zgodę na uczestnictwo Stanów Zjednoczonych w proponowanym przez ministra Mołotowa ogólnoeuropejskim pakcie bezpieczeństwa oraz dał wyraz swej gotowości na przystąpienie do paktu atlantyckiego.

Nota radziecka ma doniosłe znaczenie, jest bowiem nie tylko jeszcze jednym, bardzo mocnym dowodem pokojowej polityki radzieckiej, ale również dokumentem, obalającym wykręty ministrów mocarstw zachodnich, którzy odrzucili na konferencji berlińskiej radziecki projekt „ogólnoeuropejskiego układu o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie". Dulles, Eden i Bidault twierdzili bowiem, że projekt radziecki, przedłożony przez ministra Mołotowa, jest nie do przyjęcia z tego powodu, iż „eliminuje" Stany Zjednoczone z Europy, zapewniając wskutek tego „przewagę" polityczno-militarną Związku Radzieckiego oraz obala „obronny" pakt północno-atlantycki.

Nota radziecka dała jasną odpowiedź na insynuacje ministrów zachodnich.

Rząd radziecki zgadzając się na udział Stanów Zjednoczonych w „ogólnoeuropejskim układzie o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie" podkreślił w nocie fakt, że Stany Zjednoczone biorąc udział podczas drugiej wojny światowej w walce z agresją hitlerowską ponoszą wespół ze Związkiem Radzieckim, Francją i Wielką Brytanią odpowiedzialność za powojenne uregulowanie problemów europejskich.

Równocześnie rząd radziecki ustosunkował się do drugiej sprawy — mianowicie do paktu północnoatlantyckiego.

„Ponieważ spośród wielkich mocarstw — czytamy w nocie radzieckiej — które brały udział w koalicji antyhitlerowskiej w pakcie tym nie uczestniczy jedynie ZSRR, przeto pakt północno-atlantycki nie może nie być uważany za układ agresywny wymierzony przeciwko Związkowi Radzieckiemu". Natomiast pakt ten zupełnie ignoruje centralny problem europejski, mianowicie sprawę zapobieżenia agresji niemieckiej nastawiając ostrze swego działania głównie przeciwko Związkowi Radzieckiemu i państwom demokracji ludowej. Układ ten utraci więc tylko wtedy swój charakter agresywny, gdy w skład paktu północno-atlantyckiego wejdą wszystkie wielkie mocarstwa, łącznie ze Związkiem Radzieckim.

Taka jest zasadnicza treść noty radzieckiej, noty, która wprowadziła w konsternację mocarstwa zachodnie. Rządy tych państw oświadczają bowiem, że zależy im na osłabieniu napięcia międzynarodowego — nota radziecka jest właśnie dalszym wkładem inicjatywy ZSRR w osłabienie tego napięcia i w utrwalenie pokoju. Pozytywne przyjęcie propozycji radzieckiej powinno wyrazić się ze strony mocarstw zachodnich przede wszystkim w ich stosunku do agresywnej armii niemieckiej, do niemieckich ugrupowań militarnych, do niemieckiej polityki rewizjonistycznej. Naród polski jest specjalnie zainteresowany tymi sprawami i gorąco popiera propozycje radzieckie, które dając wkład w dzieło umocnienia pokoju ogólnoświatowego tym samym stanowią gwarancję pokoju i dla naszego kraju.

ANDRZEJ WOJTKOWSKI

GUSTAW GIZEWIUSZ A HERDER

„Głosy ludów w pieśni" (Stimmen der Völker in Liedern") brzmi tytuł Herderowskiego zbioru pieśni ludowych różnych narodów. Jan Gotfryd Herder, zmarły 150 lat temu (18 grudnia 1803 r.), pochodził z Prus Wschodnich. W jednym z ryskich druków polskich z końca wieku XVII spotykamy jakiegoś Herdera z Olsztynka na Mazurach — wśród tych, co ówczesnym obyczajem wypisywali autorowi (w tym wypadku Malczowskiemu) rymowane pochwały i komplementy.

To, na co się Jan Gotfryd Herder odważył drukując w r. 1773 pierwszy tom „Głosów", było czynem rewolucyjnym. Wszak wiek XVIII, wiek Oświecenia, spoglądał z pogardą na twórczość ludu, na jego pieśni, podania i wierzenia, w ogóle na wszystko, co było dalekie od poezji „uczonej" i od kultury papierowej. Naśladowcom rozpierającym się na ówczesnym Parnasie niemieckim Herder w zbiorze swoim przeciwstawił oryginalność twórczości ludowej. Wprowadzał na powierzchnię nurty i wartości kulturalne, które były przytłoczone płodami zarozumiałego naśladownictwa i pedantyzmu oraz deklamatorstwa pełnego pustych słów bez pokrycia. Zarazem wzywał do ratowania pozostałych jeszcze pieśni ludowych od ostatecznej zagłady grożącej im ze strony tak zwanej kultury („der sogenannten Kultur") niszczącej jak rak wszystko naokoło siebie. Goethe pierwszy poszedł za tym wezwaniem i zaczął zbierać alzackie pieśni ludowe, z których trzy Herder pomieścił w swoim zbiorze a nadto jedną przez niego samego ułożoną, słynną „Heidenröslein" („zoczył chłopiec róży kwiat"...). Fakt, że ją czytelnicy uważali za autentyczną pieśń ludową, stanowił w oczach Herdera jeden z największych triumfów Goethego.

Szukając wśród pieśni ludowych nowego źródła siły dla ówczesnej anemicznej twórczości literackiej — Herder niewiele znalazł w Niemczech samych, tam bowiem związek z pełnym siły życiem przodków dawno już był zerwany. Tam Herder nie odnalazł drogi prowadzącej do przodków. „Wśród Scytów i Słowian, Wendów (tj. Łużyczan) i Czechów, Rosjan, Szwedów i Polaków można jeszcze napotkać ślady stóp przodków", ślady i resztki prawdziwej poezji, czytamy w jego „Fragmentach". Pośrednio tylko, poprzez anglosaską twórczość ludową, Herder mógł wskazać Niemcom sposób nawiązania do rodzinnej tradycji, zerwanej już za Karola Wielkiego, tępiciela pieśni bardów.

Zarysowuje się teoria o przerwaniu pomyślnego rozwoju kultury narodów europejskich z rodzimych pierwiastków przez przejęcie, wraz z chrześcijaństwem, cywilizacji łacińskiej. Teoria, którą Lelewel a za nim Jędrzej Moraczewski, zastosował do dziejów polskich. Formułując ją Herder, geniusz zresztą nawskroś oryginalny i twórczy, w tym wypadku nie był oryginalny. Miał ją gotową u współczesnego Michałowi Aniołowi Giorgio Vasariego, który w trzytomowym swoim zbiorze życiorysów: malarzy rzeźbiarzy i architektów, pierwszy zdobył się na koncepcję syntetyczną dziejów sztuki, koncepcję o olbrzymiej doniosłości. Stwierdził mianowicie spowodowanie przerwy pomyślnego rozwoju sztuki starożytności klasycznej przez zwycięskie za Konstantyna W. chrześcijaństwo, przerwy trwającej lat tysiąc, szczęśliwie zakończonej na przełomie wieku XIII i XIV przez powstający Renesans. W wieku XVII koncepcję tę zastosowano (Camerarius) do całości dziejów, dzieląc je na trzy epoki: starożytną, średniowieczną i nowożytną; podział, jak się okazuje, wcale nie mechaniczny ani podyktowany potrzebami dydaktycznymi, lecz stanowiący wynik pewnego syntetycznego spojrzenia na dzieje.

Do historii literatury polskiej koncepcję Herdera zastosowano, po raz pierwszy chyba, w rozprawie pomieszczonej w **„Conversations-Lexikon"** Brockhausa z r. 1849. Czytamy tam, że przez dziewięć wieków szły w Polsce obok siebie dwa odrębne pierwiastki literackie, nie tylko nie oddziałując na siebie, ale nawet nie wiedząc o sobie." „Pierwszym był pierwiastek rdzennie słowiański, ugruntowany w narodowym duchu i życiu. Jak dowodzą przysłowia, resztki pieśni ludowych, podań itd., które przetrwały do naszych czasów, pierwiastek ów zaczął już w czasach przedchrześcijańskich objawiać swoją zdolność życiową i rozwojową. Ale zanim zdążył się rozwinąć i rozrosnąć w literaturze, przyniesiona została w wieku X do Polski przez chrześcijaństwo inna latorośl literacka, która rozwinęła się tak bujnie, że chociaż nie całkowicie unicestwiła, to w każdym razie przytłumiła pierwiastek rodzimy. Pierwiastek łaciński zajął miejsce słowiańskiego i na jego podstawie rozwinęło się naukowe i literackie życie Polski."

„W całym tym kilkuwiekowym rozwoju literatury masy ludu nie miały żadnego udziału. Ale właśnie wśród ludu nie miały żadnego udziału. Ale właśnie wśród ludu znalazł schronienie ów pierwiastek słowiański, rodzimy, zepchnięty w cień przez latynizm. Wreszcie po upadku ojczyzny nadeszła chwila, kiedy ten przytłumiony przez tyle wieków pierwiastek mógł wyjść na światło dzienne" umożliwiając powstanie wielkiej polskiej poezji romantycznej. Dzięki uratowanym przez lud skarbom nastąpiło teraz unarodowienie kultury polskiej Lud występuje tu jako nauczyciel warstw oświeconych.

Echa tego syntetycznego poglądu, opartego na koncepcji Herdera, można jeszcze odnaleźć w Brücknerowskim podziale historii kultury polskiej na okresy. Po okresie „francuskim" (1764 — 1830), nazwanym tak dlatego, że „nigdy przedtem nie zawładnął tak silnie a jednostronnie jeden wpływ obcy warstwą przodującą", nastaje okres „kultury narodowej" (1831 — 1931), okres w którym i warstwy przodujące wyzbyły się „ślepego naśladownictwa obcych wzorów".

Wpływ idei Herderowskich na narody słowiańskie był ogromny. Wszak Herder narodom tym — ujarzmionym przez Prusaków, Austriaków, Węgrów i Turków — przepowiadał bliskie wyzwolenie narodowe i świetną przyszłość. On też głosił równość wszystkich narodów i piętnował arogancję i brutalność, z jaką zdobywcy europejscy gwałcili ludy kolonialne i niweczyli ich pierwotne kultury, rozwijające się z rodzimych pierwiastków i zbogacające ogólnoludzki dorobek kulturalny o nowe cenne wartości. Głosił pogląd budzący dziś jeszcze zgrozę u wszystkich rasistów hitlerowskich, amerykańskich i południowoafrykańskich a głoszący, że Murzyni i Europejczycy mają jednakową wartość. Pojawiającego się wówczas pojęcia rasy radził Herder używać tylko w odniesieniu do psów i świń. Pieśń zakochanego Lapończyka przemawiającego do swego renifera postawił tuż obok pieśni Safony zwracającej się do Afrodyty, gdyż uczucia pierwszego w jego przekonaniu były tak samo głęboko ludzkie, jak greckiej poetki.

Biograf Herdera, Eugen Kühnemann, pisał w r. 1914, że herderowskie „Pomysły do filozofii historii ludzkości" przestały odgrywać jakąkolwiek rolę w urabianiu umysłowości niemieckiej, że do niemieckich szkół średnich nie znalazły w ogóle dostępu. Istotnie młodzież niemiecka już od kilku generacji była wychowana w uwielbieniu do wojen i podbojów rzymskich i utrwalana w wierze w wyższość rasy germańskiej nad wszystkimi innymi narodami, zwłaszcza słowiańskimi. Hegel podzielił narody na „historyczne" i „niehistoryczne", to znaczy na takie, które historię tworzą i na takie, które historii nie tworzą. Do ostatnich zaliczył Słowian.

Pogarda krzyżacko-pruska dla Polaków dawała się we znaki szczególnie Mazurom wschodniopruskim. „Użal się nas, użal, miłosierny Boże! Albowiem już ledwie ścierpieć może nasze człowieczeństwo pośmiewisk i wzgardy, które na nas miota lud swym szczęściem hardy" pisał jakiś nieznany mazurski poeta ludowy w wierszu wydrukowanym w Dodatku do „Przyjaciela Ludu Łeckiego" z r. 1844. Wiersza tego, jak i innych, (między nimi i Gizewiusza) redakcja nie chciała przyjąć, wobec czego Gizewiusz wydrukował je w Lipsku u Serba Łużyckiego, Jana Piotra Jordana, i dodał do jednego z numerów „Przyjaciela Ludu Łeckiego". Wiersz ów był jedną z **„Dwóch piosenek nabożnych, przydać się mogących nam, polskim ludziom, w Prusach mieszkającym a upośledzonym od naszych współobywateli niemieckich".** Temu to pomiatanemu przez Prusaka chłopu mazurskiemu Gizewiusz mówił, że go, jako duszpasterz, uważa nie tylko za swojego ucznia, „ale i za swego nauczyciela, który nam o dziejach, wyobrażeniach, pojęciach, zwyczajach, obyczajach naszych ojców... więcej jest w stanie powiedzieć jak którakolwiek bądź książka lub kronika." Gizewiusz uważał lud „za jedynego piastuna sztuk dawnych narodów, wznioślejszej i głębszej nieraz poezji i muzyki, niż ją napotykamy w jednym tak nazwanym arcydziele." Uważał go za „jedynego przekaziciela filozofii narodowej, opartej na doświadczeniach i obserwacjach wiekowych całego narodu, a złożonej w przysłowiach i przypowieściach."

O tych zapatrywaniach Gizewiusza dowiadujemy się od Pomorzanina Kazimierza Szulca, pochodzącego spod Brodnicy. Szulc uczęszczał przez pewien czas do gimnazjum w Ełku, posłany tam umyślnie przez poznański Związek Plebejuszów, aby wśród Mazurów przygotowywał powstanie demokratyczne 1846 r. Opierając się na jego informacjach możemy stwierdzić, że Gizewiusz żył zupełnie w sferze idei herderowskich. Przepowiednię Herdera o wyzwoleniu Słowian i wielkiej ich przyszłości odnosił w szczególności do Mazurów, uważając ich jako protestantów za kwiat Słowiańszczyzny. Zniknięcie ich z powierzchni ziemi wskutek germanizacji byłoby jego zdaniem, zbyt wielką stratą dla kultury ogólnoludzkiej, gdyż właśnie na ich przykładzie można by studiować nowe wartości powstające z przejęcia się duszy słowiańskiej protestantyzmem.

Posłuszny wezwaniu Herdera — Gizewiusz zaczął w okolicy Ostródy zbierać mazurskie pieśni ludowe, a te, które zebrał, ogłosił „drukiem w leszczyńskim „Przyjacielu Ludu" z r. 1839. W „Przyjacielu Ludu Łeckiego" wydrukował **„Pieśń o zamordowaniu trojga dziatek w mieście Jańsborku (Piszu) 16 maja r. 1830 przez ich własną matkę popełnionym jako też i sama tamże swój koniec wzięła, razem ze swoimi dziatkami życie sobie odjąwszy,** napisaną przez chłopa mazurskiego, Frycza Olszewskiego, w 16 zwrotkach jedenastozgłoskowcem, z zachowaniem cezury. Ponurą tą pieśnią („Erzählgedicht", pieśnią ludową opowiadającą nazwałby ją Herder), Gizewiusz był zachwycony jako dowodem, „że, jak pisał we wstępie do niej, i między nieokrzesanym polskim ludem naszym znajdują się tacy, którzy się nie tylko do pługa i cepów biorą, ale nieraz i po pióro sięgają..." „Niech się z takich zjawisk, kończy Gizewiusz, przekonają wszyscy, że i pod mazurską strzechą nie mieszka sama dzicz, że i w mazursko-polskich piersiach bije serce czułe i szlachetniejszym myślom otwarte i przystępne, a że nie trzeba tych prostaków koniecznie niemczyć, aby o czym wyższym myśleli, mówili, a nawet pisali".

Jak Gizewiusz pieśni ludu mazurskiego, tak Mrongowiusz zbierał jego przysłowia i drukował w swoich słownikach polsko-niemieckich i niemiecko-polskich. Przy każdym z wydrukowanym przysłów czy mazurskich wyrazów gwarowych Mrongowiusz dopisywał „Preuss. Poln.", objaśniając w jednym miejscu, że „Preussische Polen" to są Mazury. Unikał terminu „Mazuren", zapewne dlatego, że władze pruskie chciały z nich zrobić osobną, niepolską narodowość. Nazywa ich wobec tego zawsze Polakami.

Jak Gizewiusz pieśniami Mazurów, tak Mrongowiusz zachwycał się ich filozofią, czyli raczej mądrością życiową, zawartą w ich przysłowiach, oraz starodawnością ich mowy pobrzmiewającą zygmuntowską polszczyzną Postylli Grzegorza z Żarnowca, którą Gizewiusz cenił najwyżej ze wszystkich.

Tak to Herder nauczył przede wszystkim narody słowiańskie cenić **twórczość ludową.** Odgrzebaniu jej skarbów, dokonanemu na jego wezwanie, niektóre z nich zawdzięczają swoje odrodzenie narodowe; Polakom zaś w szczególności umożliwiła ona unarodowienie ich kultury.

Mickiewicz w wykładzie z 9 maja 1843 r. nazywa Herdera „jednym z największych mężów, jakich wydały Niemcy, obdarzonym poczuciem przyrody, gruntownie obeznanym z dziejami ludów". „Herder", mówił dalej Mickiewicz, „szukał Boga u ludzkości; on to pierwszy wprowadził w obieg wyraz **ludzkość.** Zdaniem jego nie myśl sama jest istotą człowieka, dopiero idea człowieka całkowitego i pełnego stanowi wzór, według którego należy się doskonalić. **Cząstki** tego wzoru znajdują się niejako rozsypane w ludziach pojedyńczych, nie masz nic większego i nic świętszego ponad, ludzkość".

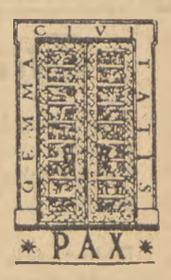

Alessandro Manzoni
NARZECZENI
dwa tomy cena zł 60.—

A. J. Cronin
KLUCZE KRÓLESTWA
cena zł 30.—

Mateusz Żurawiec
WIEC W ŚRODKU CZŁOWIEKA
cena zł 10.—

Mikołaj Rostworowski
PRZECIW NOCY
cena zł 12.—

Maria Zientara-Malewska
— Michał Lengowski
— Teofil Raczyński
— Alojzy Śliwa
POEZJE WARMII i MAZUR
cena zł 10.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax", Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu na konto PKO, W-wa, I-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.
Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

ŻYCIE I MYŚL

* DWUMIESIĘCZNIK *

W najbliższych dniach ukaże się w sprzedaży wznowiony przez PAX dwumiesięcznik „Życie i Myśl".

Obszerny, 240 str. numer otwiera tekst oświadczenia Prezydium Duchownych i świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego na temat konferencji berlińskiej.

W dziale rozpraw i artykułów znajdujemy pierwszą część pracy Etienne Gilsona „Realizm metodyczny" (której dokończenie ukaże się w n-rze następnym).

Jerzy Krasnowolski pisze na temat „Kościół i wierni w Kościele". Następnie znajdujemy artykuł Andrzeja Micewskiego pt. „Z przeszłości stosunków pomiędzy Kościołem katolickim i państwem". Fragmentem tegoż zagadnienia zajął się w obszerniejszej analizie ks. prof. Mieczysław Żywczyński, omawiając okres ostatnich 100 lat na terenie Włoch. O św. Justynie, Apologecie i męczenniku II wieku, pisze Wanda Tarczyńska.

Materiały trzech następnych autorów ukazują interesującą dla każdego katolika sprawę hiszpańską.

Fragmenty pamiętnika Georges Bernanosa, dotyczące jego pobytu w Hiszpanii, tłumaczone są z jego książki „Les cimetières sous la lune".

Jose Bergamin, słynny pisarz katolicki, który przebywa na emigracji w Urugwaju, w płomiennym essayu zbliża polskiemu czytelnikowi atmosferę przeżyć Hiszpanów w czasie wojny.

Witold Jankowski analizuje bilans Hiszpanii w okresie panowania faszystowskiego dyktatora.

Ks. dr Jan Arcab w związku z Bożem Narodzeniem omawia Norwida „Do Najświętszej Panny Litanie", której tekst następnie jest zamieszczony.

Konstantego Łubieńskiego „Uwagi o dochodzie narodowym w Polsce Ludowej" zamykają dział rozpraw i artykułów.

W dziale następnym, zatytułowanym „Na tle książek" znajdujemy obszerną recenzję prof. Juliusza Kleinera z pracy St. Skwarczyńskiej „Studia i szkice literackie", dr Maria Maykowska omawia 3 tomy „Pism Filozoficznych" św. Augustyna, Irena Grono pisze o „Listach" św. Hieronima, Wojciech Wieczorek o I tomie Pism Mao-Tse tunga i Juliusz Domański — O słowniku łaciny średniowiecznej pod red. prof. Pizzi oraz o pracy prof. K. Kumaniecki ego „Twórczość poetycka Filipa Kallimacha".

Obszerna kronika zagraniczna zamyka numer.

„Życie i Myśl" będzie do nabycia w kioskach PPK „Ruch", sklepach Veritasu, Oddziałach [illegible] Powszechnego" [illegible] po wpłacie zł 7 — za egz. na konto PKO, W-wa I — 100423/114, Biuro Sprzedaży Instytut Wydawniczy „PAX", Mokotowska 43.

MARIAN CHRZCZONOWSKI

Powoli człapał konik...

MAŁY, chuderlawy konik powoli wyciągał nogi z grząskiego, ciężkiego błota. Skrzypiąca furka z trudem pokonywała zwały czarnej mazi, która oblepiała koła i swą ciągnącą się lepkością paraliżowała ich i tak wolne obroty. Brudno-szare, nisko płynące chmury przytłaczały każdą radośniejszą myśl i pogrążały umysł w szarej jak aura otchłani zniechęcenia. Droga zdawała się bez końca.

Wreszcie w oddali, na horyzoncie ukazał się czerwony, wysoki komin i jakieś zabudowania.

— O i już Szreniawa! — krzyknął, otrząsając się z błotnistego odrętwienia, furman i symbolicznie pomachał resztką bata nad końskim uchem.

Budynki nabierały coraz wyraźniejszych kształtów i po pół godzinie furka dobiła resztkami sił do Państwowego Ośrodka Maszynowego w Szreniawie. Szreniawa — to mały, zabity deskami przysiółek, należący do podkrakowskiej gromady Klimontów.

Zarząd POM mieści się w pochylonych ku ziemi, zeszłowiecznych budynkach, które ongiś należały do miejscowej cukrowni. Dziś te omszałe, owiane romantyzmem przeszłości domki, to — mówiąc lapidarnie — rozlatujące się rudery, które nie są w stanie sprostać nałożonym na ich schorlałe barki obowiązkom.

Wszędzie straszliwe błoto. Czworobok podwórza — to jedno wielkie trzęsawisko w którym jako tako starają się utrzymać na powierzchni siewniki, pługi i żniwiarki. Traktory, niestety, zapadają się już po osie. Między maszynami widać smujące się ociężale postacie, które niby „muchy w smole" z trudem wyciągają nogi z błota. Od czasu do czasu martwą ciszę podwórza przerywa krótki stuk młotka, który zapewne ma symbolizować wśród panującej tu ciszy tzw. „rytm pracy".

Przeskakując z cegły na cegłę, dostaję się po tym zaimprowizowanym moście do budynku administracyjnego, gdzie panuje również, dzwoniąca w uszach cisza. W pierwszym pokoju pusto, także w drugim i w trzecim. W końcu uchylają się jakieś drzwi i ze szpary wysuwa się zdziwiona, a właściwie przerażona twarz.

— Kto? Po co? Do kogo? Dyrektor? Nie ma. To znaczy jest, ale na posterunku MO. No, no bo „tamta" sprawa.

Jednym słowem na posterunku.

I znowu z cegły na cegłę i po chwili wchodzę do kancelarii posterunku. Na środku pokoju siedzi na krześle postać, której twarz, zresztą, jak i cała głowa, owinięta jest szczelnie bandażem. Wśród znajdujących się w pokoju milicjantów jest na szczęście również dyrektor POM-u.

— Chodzi o reportaż?!!! No tak... Hm... Proszę — mówi wyraźnie zażenowany i niepewnie spogląda to na mnie to na obandażowanego delikwenta. Coś bardzo te bandaże dokuczają dyrektorskiemu sumieniu.

— To jest nasz traktorzysta — bąka zmieszany. — Poszli wczoraj, po południu do gospody, do Proszowic. Trochę wypili, no i... — No i po prostu bijatyka. Widać pracownicy POM'u w Szreniawie mają zbyt dużo wolnego czasu i nudzą się. A wiadomo, że nuda jest złym doradcą.

— Ale brak pracy w POM'ie tuż przed akcją wiosenną?

Dyrektor stara się koniecznie zatrzeć złe wrażenie.

— Do wiosennej akcji siewnej jesteśmy gotowi w stu procentach — mówi, prowadząc mnie w stronę walącej się budy, w której gnieździ się warsztat.

— Remonty zimowe koniecznych do siewu wiosennego maszyn ukończyliśmy na dwadzieścia dni przed terminem.

Okazuje się, że nie wszyscy w Szreniawie mają tyle wolnego czasu co wojowniczy traktorzysta. Na wezwanie dyrektora podchodzi do nas dwóch niestarych jeszcze ludzi.

— To grupowi załogi warsztatowej — Grzymała i Stępień — przedstawia dyrektor. — Jak się okazuje są oni inicjatorami współzawodnictwa w pracach remontowych.

— Prześcigniemy Chodów — dopingowali oni swych kolegów, majstrując nieraz długo w noc przy zmęczonych jesienną orką traktorach. A prześcignąć Chodów to było rzeczywiście nie byle co. Chodów — to jeden z najlepszych ośrodków w okręgu krakowskim.

— Nie dacie rady — mówił starszy mechanik Burmer, widząc jak reszta załogi „punktualnie" rzuca narzędzia.

— To nam pomóż — odpowiedział Stępień spod traktora, a Grzymek wciskał mu do ręki zanieczyszczony karburator.

— A żebyście wiedzieli, że pomogę. — Burmer zakasał rękawy i przyłączył się do współzawodnictwa.

Ostateczny termin ukończenia zimowych remontów upływał 10 marca. 18 lutego maszyny były wyremontowane. Tak, ale... warsztatowcy w Chodowie ostatnią śrubkę przykręcili już 31 stycznia.

— Mają lepszych fachowców, bardziej uświadomioną załogę — tłumaczy dyrektor. — Organizowali jakieś kursy, pogadanki, podobno nawet książki specjalnie sprowadzali.

Słowem kierownictwo POM'u w Chodowie wykazywało więcej troski, o poziom fachowy swej załogi. A w Szreniawie? Dlaczego w Szreniawie nie zorganizowano takich kursów i pogadanek?

Dyrektor wyraźnie nie wykazuje zapału do rozmowy.

— A no, bo..., bo..., bo się nie opłaci. Przede mną próbowano przeszkalać pracowników, ale ci zaraz uciekali, a na ich miejsce przychodzili inni i nie można było nadążyć ze szkoleniem.

— ? —

— Tak, mało zarabiali. Nie mogli wyrobić normy.

— Była za wysoka?

— No nie... ale traktory psuły się często, stawały w polu; poza tym brak części zamiennych. Nieraz dla błahostki trzeba traktor ściągać do warsztatu; marnuje się czas, a zarobek traktorzysty obniża się.

— Jeżeli chodzi o błahostkę — to traktorzysta może przecież dokonać naprawy od razu na polu?

— Skąd, nie zawsze potrafi.

Czyli takie zaczarowane koło, z którego dyrektor nie umie znaleźć wyjścia. I ten obecny, i jego poprzednicy. A było ich już kilku. Mój rozmówca to już czwarty. Jak na trzy lata istnienia POM-u, to liczba wcale pokaźna.

Nie tylko jednak niskie zarobki są przyczyną tego wartkiego przepływu pracowników przez szreniawski POM.

— Nie mamy również mieszkań dla naszych ludzi. Przeważnie re-

(Dokończenie na str. 5)

ANDRZEJ PIOTROWSKI

* * *

Przebacz oczom: nie mówiły prawdy.
dotyk rąk każdym palcem kłamał —
nie przyjąłem łaski słów jawnych
obrócony do życia plecami.

Oddam ziemi spojrzenie późne
i odnajdę kształt złożonych dłoni.
Wywiedź z ust pierwszy dobry uśmiech
ocal wiarę w karzącym ogniu.

Koledze z lat pobytu w Anglii

Tego powrotu nie czekam,
nie pragnę tego spotkania,
odszedłem już tak daleko:
Ciebie zły brzeg zasłania.

Na tamtej krawędzi ocaleń
ręki mojej nie przyjmiesz.
Każdy dzień nas oddala
— wykreśla drogie imię.

JADWIGA CHMIELEWSKA

Znak krzyża

Znak krzyża przed tobą kładę, słowo,
aby się rozjaśniły drogi,
i abyś była, moja mowo,
prosta, jak obcowanie z Bogiem.

Dobra, jak Pasterz, co zostawia
stado dla owcy na bezdrożach,
jak głos, co łotra ułaskawia,
boś tyle warta, ileś Boża.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Pogoda

Matce Przybranej

Słońce odbiera kwiatom barwę,
Niebo wypija zieleń wodom,
Łubin zapachem ziemię karmi,
Dziecko matczyną kruszy młodość.

Ptak liście płoszy późnym śpiewem,
Cisza się zmierzchem dźwięków krzepi,
Cień — to odjęty spokój drzewu,
Mądrość — to gorzkie brzemię wieku.

W nieodwracalny krąg wyrzeczeń
wplecony człowiek, liść i woda.
Kto cierpiał dużo, wie najlepiej —
gdzie rodzi się pogoda.

MIECZYSŁAW STRYJEWSKI

Na połów

Na białym brzegu stoisz patrząc!
Tam uwiązany rwie się kuter,
na morze, na połów w wędrówkę najdalszą,
w dalekie rejsy z tęsknoty wysnute.

Na białym brzegu stoisz myśląc:
przysłaniasz oczy. Niechaj myśl ustrzeże,
przed awariami. Rejs niezwykły.
On wróci. Nadzieją się pocieszysz.

Na białym brzegu zdjęto sieci.
Wiatr zapowiada dobry połów.
Tylko nord ostry wodę przeciął.
„O hej. Na połów"

Na pewno przyjdziesz wieczorem naprzeciw
po spokój morza, po niego, po sieci.

WOJCIECH GRZYBOWSKI

Poemat o van Goghu

(fragment)

Błękit przecięty srebrnymi drutami
A na nich srebrne ptaki
Błękit etiudy wydzwania —
Czarne kwiaty.

Biały łabędź płynie w czarny smutek
A na drutach telegraficznych srebrne ptaki
Dla Chopina wiatr by je w nuty poukładał —
Dla Vincenta w kwiaty.

Jaka srebrna jest klawiatura w nocy
Jak muzyka w kawiarni w Arles gdzie kolor czerwony
Jak bas się o ciemność nocy rozbił — —
A kolor zielony jak ptak zielony.

Jak czerwień ze srebrem — jak bas z fioletem —
Jak flet — jak ptak ze srebrną struną —
Jak srebrną gałązką
Jak płacz z uśmiechem.

Smutek jest srebrny — wiosna zielona
Barwy zakwitły już
Po nieparzystej stronie
Szukać zacząłem róż.

Od basu do sopranu — od czerwieni do nocy
Od zieleni do smutku...
Bo tym był taki spokojny
By nam barwy nie płoszył.
Borinage.

Po nocy brzoza w białej koszuli
Wyciąga swoje ręce
Pod okno jak po kromkę chleba —
Po całodziennej męce.

ZBIGNIEW BANDERCZAK

MOJE TRZY GROSZE

„Nie doznawaj lęku, gdy dobytek twórczy twego ducha mniej obfity będzie w pewnych okresach niż w innych".

(Walter Sawage Lander: *Dialogi fikcyjne*)

Sprawa: zbiorek wierszy Mikołaja Rostworowskiego *„Przeciw nocy"*. Załączniki: wrażenia i myśli po przeczytaniu recenzji tego zbiorku.

Przez Zdzisława Jastrzębskiego, przez Zbigniewa Banderczaka, (*„Tygodnik Powszechny"*) przez Sławomira Błauta (*„Dziś i Jutro"*) zostały wzięte pod światło wiersze z tomiku *„Przeciw nocy"* i opukane i otaksowane w swoich najprzelewniejszych opalizacjach treści oraz formy. Była w tym zaciętość badawcza równa tej, jaką Platon ilustruje przykładem Sokratesa i Protagorasa, gdy obaj ci mężowie zabrali się do ułamków wiersza Simonidesa z Keos, by z nich ułożyć harmonijną w barwach i w kompozycji mozaikę własnych mniemań o rzeczach dotyczących cnoty i dzielności. Zanim ich Platon wprowadzi na tokowisko płodnej w rezultaty sprzeczki, każe Protagorasowi wygłosić dostojną sentencję, miłe głaszczącą uszy poetów i krytyków: „Sądzę, Sokratesie, że najważniejszy składnik duchowej kultury każdego człowieka to jego orientacja w dziedzinie utworów poetyckich". Sam Protagoras, jak powiadają, był czarodziejem czynności komentatorskich i zaprawiał do tej sztuki swoich uczniów, za co wpadało mu do puli po ukończeniu kursu sto min srebrem. Na owe czasy suma ta stanowiła nie błahy majątek.

A w sprawie komentarza do urywków wiersza Simonidesa z Keos tak się złożyło, że i Sokrates i Protagoras, chociaż obstawali przy rozbieżnych sądach, mieli w mniemaniu słuchaczy jednaką rację. Bywa to nie rzadko w sporach o poezję. „Za panowania panteizmu druku, pod ołowianej litery urzędem" opinia łatwo powielana, łatwo ulega dewaluacji. A więc nie solidną walutę złotych myśli mogę rzucić do ogólnej puli, tylko drobnicę, tylko swoje trzy grosze.

1

„Muzyczność" — jako wyssana z mlekiem Muzy cechą „sztuki poetyckiej" Rostworowskiego powtarza się stałym refrenem w recenzjach *„Przeciw nocy"*. Istotnie poeta ma ucho wrażliwe na przelot „muzyki świata". Niby antena wyławia ją z eteru:

Była muzyka. Grotem światła
pochodnią śpiewną w serce biła,
by rość pożarem jak kantata,
pustoszyć ogniem grunt pod miłość.

Raz po raz zapadają się w strofach Rostworowskiego „neony muzyk", zawodzą „wieczorne koncerty cykad", „nacichają róż koncerty", „ubrajają się do walki dłonie muzyczne". W swoim najwyższym spiętrzeniu muzyka zespala się ze światłem: „Ty jesteś światło i muzyka, dotkliwie smutny motyw cierpień", „Była muzyka. Grotem światła, pochodnią śpiewną w serce biła", „zachowaj od neonów muzyk". Muzyczna wrażliwość poety nastraja jego rytm. Głównie posługuje się Rostworowski wierszem dziewięcio - zgłoskowym, obciętym niekiedy przez rym męski. Tam jednak, gdzie wzrasta „przeciąg historii", gdzie oddech staje się szybszy — wiersz kurczy się, zwiera przygotowany do skoku w aforyzm.

Nim zgaśnie latarń wieniec,
na skroniach robotniczych,
wiatr od Termopil skrzętnie,
w spiż harde czoła zmarszczy.

I naodwrót: „przeciąg historii" niekiedy rytm ten rozszerza, rozciąga w panoramę czasów: „ojczyzny wtórej", co „hełmem fabryk osłania ludzi znad wrzosowisk", czasów, gdy:

Trud odmienił krajobraz. W chuście
złobił pieczęcie,
gęstym ściegiem przemysłów obszył
czerwień i biel...
błyskawice transportów ciska
w Miasto, gdzie kamień
jest wytrwały jak diament
i lotniejszy niż liść...

Muzyczność Rostworowskiego, rytm Rostworowskiego — są w swej intencji Tyrtejskie, marszowe, akcentujące krok historii, ale akcentują go poprzez tłumiki. Dlatego nieraz temat, po którym oczekuje się wybuchu, co sprawi, że „struny zadzwonią jak trąby mosiężne" — roztopia się w elegię:

...rąbek flaneli tłamsi w łapkach,
jak wkrótce miała.
Nie mógł pojąć,
że gdzieś tam piąstki parzy napalm,
dzieci się boją.

Ten sam motyw poeta francuski, Guillevic, wyprowadził w tonacji maestoso:

To ludzi i głazy, kobiety i wiatr,
to rzeczy ziemskie i ludy znad ziemi
maleńkie dzieci Korei
oskarżają ustami martwymi.

Tak to czasem rytm i muzyczność Rostworowskiego są jakoby... zielenią na wulkanie. A czasem odzywa się w nich zaśpiew ludowy:

Przed trybunał go wiodą zszarzałego
przedwcześnie
w mundurowej eskorcie braciszkowie
rówieśni.
Dionizego z Podlasia, jednej morgi
dziedzica,
podpatrzyła śród nocy koszalińska
milicja.

Tylko trzeba jedno powiedzieć: unika Rostworowski „diabła śpiewności" (zwrot Stefana Kołaczkowskiego) jak diabeł unika wody święconej. Jeśli coś, to już raczej perkusja:

I będziesz tańczyć. Już piszczałce
wtórują trzaskiem horyzonty
— niesposób zmylić takt.
Dla ciebie porażonej walcem,
jak liść odgiętej wstecznym prądem
— zaszumi świat.

2

Wiersze Rostworowskiego — to wzruszenie wstrzymane w drodze przez intelekt. Oto na przykład poeta śpieszy „z gałązką wierzby jak z latarką" ku wspomnieniom prowokacyjnie lirycznym: dzieciństwo, Wielkanoc, rów pełen pierwiosnków, którym „przejdzie czołg", dom „pamięci łuną prześwietlony"... Gama chemicznie czystych wzruszeń, tylko je słowom powierzyć bez zastrzeżeń, z jakąś Verlaine'owską ufnością. Rostworowski jednak zastrzega się przeciw nim — intelektem. Ma podwójne widzenie rzeczy: czucie i wiarę, których błędy optyczne prostuje „mędrca szkiełko i oko".

Stawiasz horoskop z tonu śmigła
i lakonicznych zwierzeń anten.
Choć bieg z uczuciem pocisk wygrał
— wierzysz fluidom chiromantki.

Wśród takich strof łatwo o przypomnienie Paul Eluarda, u którego wzruszenia nieruchomieją zanurzone w chłodnej, kryształowej samowiedzy, przeistoczone w płaskorzeźby o medalionowo twardych zarysach:

O toi mon agitée et ma calme pensée
Mon silence sonore et mon echo
secret
Mon aveugle voyante et ma vue
depassée
Je n'ai plus eu que ta presence.

Wydaje mi się, że Rostworowski jest miłośnikiem tego poety.

Intelektualnymi wyładowaniami zbiorku *„Przeciw nocy"* są aforyzmy. Mamy ich sporo. Cytujemy niektóre:

Historia trudna
tam się jawiła pstro i wzniośle.
Dumniej, lecz srogo jest dorośleć.
Światło i nów,
gdy znowu walka,
trafniej od słów
połączy salwa.
W człowieczej doli ryte
na skale krwią mazane
reguły wzrostu, kwitnień,
prawidła umierania.

Aforyzm w tych wierszach — to niejako poetycka formuła poznawcza. Jeśli udowodniono, że przez dialektykę Eurypidesowych dialogów wtargnął duch Sokratejski do tragedii, to w aforyzmie, gnomie, sentencji trzeba widzieć jego władzę nad liryką: „A na czymże polega powodzenie w zakresie pisania i jakie robi człowieka dobrym pisarzem? Jasna rzecz, że to wiedza dotycząca pisma". (Platon: *Protagoras*).

3

Poetyka *„Przeciw nocy"* to nie jest poetyka z rezonansem wielkich sal, placów i tłumów, którą ukonstytuował Majakowski, to poetyka studia kameralnego, w której strofa niby mikrofon doprowadza głos poety do ludzi. Ale głos ten, wychodząc ze strefy izolowanej, przynosi opowieść powszednią, niewyzbytą z ciężaru właściwego, którym ją darzy treść społeczna. Zazwyczaj działa tu czuła waga porównawcza, zazwyczaj szale jej są wyrównane, zazwyczaj „ja" jest w stosunku do wartości społecznych, chociaż bywa i na odwrót: „ja" dominuje nad światem rzeczy. W tym punkcie jednak jeden z najsurowszych obiektywizmów pisarskich, obiektywizm Tomasza Manna — ma rozluźnione oka swojej tak szczelnej sieci: „Zawsze będą istnieli ludzie mający prawo do tej wnikliwej obserwacji swych wrażeń, do tego zainteresowania dla samego siebie: poeci, którzy umieją pięknie i pewnie wyrazić, odnaleźć swoje... życie wewnętrzne, a tym samym wzbogacić uczucia innych ludzi". (*„Buddenbrookowie"* t. I). N Rostworowskiego jesteśmy świadkami takiej właśnie wędrówki przez podmiotowość do przedmiotowości. Coś jakby drążenie tunelu ku wylotowi na świat:

Sposobem kreślm drążę ciemność,
sam z własnym cieniem się szamocząc.

I wtedy w pulsie własnym słyszy poeta puls „Pospolitej Rzeczy Olbrzymiej":

Rozwiń chustę jak flagę, pieśń
wyprostuj jak ramię,
które skrzydłem rusztowań było
wczoraj a dziś
błyskawice transportów ciska
w Miasto, gdzie kamień
jest wytrwały jak diament
i lotniejszy, niż liść.

Powściągliwa, antycratorska zwrotka poety, w jednym miejscu zatrzymała się nad rumowiskiem domu dzieciństwa:

Z gałązką wierzby przez noc tak
wielką jak żadna z Wielkich Nocy
do domu biegnę, co już raz
w powietrza słup się przeistoczył.

Chyba najprostszy, najpoufniejszy w całym zbiorku odruch liryczny, Wergiliuszowskie „sunt lacrimae rerum" — są łzy rzeczy pewnych.

DWIE HISTORYCZNE FORMY CHRZEŚCIJAŃSTWA

(Dokończenie ze str. 1)

nych. Zabójczy starotestamentalny legalizm i instytucjonalizm poczynał wkradać się coraz więcej w chrześcijańskie życie religijne. Żywa nauka Chrystusa kostniała coraz bardziej w martwych kanonach prawa kościelnego, nierzadko do nich całkiem redukowana. Miejsce religii zajmowało — jak niegdyś u Żydów — kościelnictwo.

Reakcja przeciw takiemu stanowi rzeczy i grożącemu stąd niebezpieczeństwu budziła się w kościele rzymsko - katolickim niejednokrotnie i to na dłuższy już czas przed wybuchem reformacji. Wzmogło ją w dużej mierze zetknięcie się ze Wschodem w czasie wypraw krzyżowych. W ruchu franciszkańskim uwidaczniała się ona już zupełnie wyraźnie. Ale gwałtownie nastąpiła dopiero w wieku XVI-ym, tj. wówczas, gdy Odrodzenie i Humanizm wzmogły w człowieku samodzielność myślenia, ośmieliły go, oraz poczęły ster życia duchowego (a więc i religijnego) w społeczeństwach Europy przenosić coraz bardziej z rąk rodowej feudalnej szlachty, w ręce wzbogaconego, wykształconego i silnie już umysłowo rozwiniętego mieszczaństwa, dla którego tradycyjne formy życia nie przedstawiały większej wartości.

Reakcja, jaka nastąpiła w reformacji protestanckiej, miała charakter rewolucji i to rewolucji nie tylko kościelnej lecz również religijnej. Była więc, jak każda rewolucja, posunięciem radykalnym. Myśl chrześcijańską, zdążającą coraz bardziej ku jednej skrajności, przerzuciła ona od razu w skrajność drugą i to możliwie najdalej. Jak widzieliśmy już wyżej, protestantyzm uczynił z wiary religijnej wyłącznie akt ślepego zaufania Bogu, eliminując niemal całkowicie poznawczy charakter wiary. Konsekwentnie usunął, jako zbyteczny, wszelki nauczycielski urząd kościelny i w ogóle całą nauczycielską funkcję kościoła. Kościół, jako instytucja autorytatywnie nauczająca i strzegąca prawd wiary wydał się niepotrzebny; do budzenia ufności w skuteczność dzieła krzyża chrystusowego wystarczała zupełnie dobrze sama Biblia. — Ale nie tylko jako instytucję nauczającą usunął protestantyzm kościół. Usunął go w ogóle jako widzialną, zorganizowaną społeczność wiernych, w widzialny sposób łączącą człowieka z Chrystusem, przez udzielanie człowiekowi widzialnych sakramentów. Rozpoczęta przez protestantyzm walka ze zbyt zewnętrznym pojmowaniem kościoła Chrystusowego — walka mająca na celu przypomnieć chrześcijanom, iż kościół jest nie tylko instytucją prawno - religijną, ale również mistycznym zjednoczeniem wszystkich ludzi w Chrystusie, skończyła się przekształceniem kościoła w twór czysto duchowy, w pozbawioną wszelkiej szaty zewnętrznej mistyczną społeczność wierzących.

Bardziej jeszcze jednostronnie ujmując chrześcijaństwo niż je ujmował katolicyzm średniowieczny, protestantyzm nie mógł się oczywiście obronić przed gorszymi jeszcze następstwami swej jednostronności. Najgroźniejsze z tych następstw polegało na wytwarzaniu się wśród ewangelików coraz większego chaosu w poglądach na najistotniejsze nawet zagadnienia chrześcijaństwa, a więc np. na to, co jest a co nie jest autentyczną nauką Chrystusa, co należy a co nie należy do istoty chrześcijańskiej religii. Za tym szło rozbijanie się protestantyzmu na coraz liczniejsze i różnorodniejsze wyznania — sekty i kościoły — tak liczne i różnorodne, że dziś niepodobna nawet ich wszystkich zestawić i określić. Co więcej, nieskrępowany żadnym nadrzędnym autorytatywnym czynnikiem równoważącym indywidualizm w interpretacji Biblii, otwarł szeroko wrota liberalizmowi i indyferentyzmowi religijnemu, o nastawieniu zarówno skrajnie racjonalistycznym, jak skrajnie irracjonalistycznym. Z czasem doszło do tego, że w pewnych kołach ewangelickich poczęto redukować całą treść nauki Chrystusa do jednej tylko jedynej prawdy — mianowicie, iż Bóg jest naszym Ojcem, a nawet zupełnie serio dyskutować, czy do tego, aby być chrześcijaninem konieczne jest wierzyć w Chrystusa (przynajmniej w Chrystusa historycznego), czy też można zupełnie abstrahować od osoby Chrystusa bez uszczerbku dla chrześcijaństwa. Fryderyk Heiler, który długie lata spędził w protestantyzmie, dodaje jeszcze jedno, wprost paradoksalne następstwo, zwracając uwagę, że dziwnym biegiem rzeczy ten sam protestantyzm, który wyrósł pod hasłem zwalczania szerzącego się w średniowiecznych kołach katolickich etycyzmu religijnego wyzuwającego rzekomo religię chrześcijańską z pierwiastka mistycznego, sam, w drodze poprzez wieki, zagubił gdzieś zupełnie ducha mistyki, a religię ograniczył w praktyce niemal wyłącznie do religijnej etyki.

Rzecz jasna, że rewolucja protestancka stanowiła dla katolicyzmu wielki i tragiczny wstrząs. Nie tylko bowiem rozerwała ona jedność chrześcijaństwa, ale ponadto uczyniła chrystusową religię miłości na długie czasy terenem sporów i walk, bynajmniej nie pod hasłem miłości prowadzonych. Trzeba by jednak być chyba ślepym czy sfanatyzowanym, by nie dostrzec, że na dalszą metę rewolucja protestancka miała również dodatnie skutki dla rozwoju chrześcijaństwa. Dziś, gdy minął już nastrój zacietrzewienia i walki, gdy skończyły się religijne wojny i ustały zażarte religijne polemiki, a miejsce ich zajęła spokojna, rzeczowa refleksja — orientujemy się coraz bardziej, że w przedreformacyjnym katolicyźmie istotnie nie wszystko było bez zarzutu. I zaczynamy powoli, dyskretnie zawracać z niejednej błędnej ścieżki — stępiając to, co bywało nieraz przejaskrawiane, równoważąc to, co bywało jednostronnie uwypuklane, uzupełniając to, co bywało często zupełnie pomijane. Jeśli w naszych oczach budzi się wśród katolików coraz większe zainteresowanie się Pismem św., jeśli rozwija się coraz bardziej katolicki ruch liturgiczny podkreślający silnie mistyczne momenty w obrzędach kościoła, jeśli słychać coraz wyraźniej głosy przestrzegające przed utożsamianiem religii z etyką i kościelnictwem, jeśli papiestwo dąży wyraźnie do nawiązania kontaktu z oderwanymi nawet, schizmatyckimi kościołami Wschodu, jeśli w teologii katolickiej zauważamy coraz silniejszy wzrost wpływów kierunku augustyńskiego, itd. — to wszystko to są tylko sposoby nadrabiania braków, na jakie nam katolikom zwrócił uwagę protestantyzm.

Ale i w łonie samego protestantyzmu widoczne są już wyraźnie symptomy spokojnej refleksji, zastanowienia oraz idącego za tym autokrytycyzmu. Coraz częściej słychać tam głosy krytyki pod takim czy innym adresem. Coraz śmielej poczyna się zestawiać i porównywać obie formy chrześcijaństwa, w zwierciedle Chrystusowej Ewangelii. Coraz głośniej i natarczywiej rzuca się hasło zjednoczenia z powrotem tego, co zostało rozdarte — powrotu do wspólnej macierzy, jednego, świętego, apostolskiego Kościoła. I coraz częściej urządza się w tym celu międzywyznaniowe zjazdy unijne.

Czy takie zjednoczenie istotnie kiedyś nastąpi? Ufajmy, że tak. Jedno jest tylko pewne, że z obu stron droga do zjednoczenia nie jest jeszcze w tej chwili zbyt bliska. Dwie przede wszystkim stają na tej drodze trudności: jedna rzeczowa, druga raczej psychologiczna. Pierwsza polega na tym, że, jak już wspomnieliśmy, protestantyzm tak się rozproszkował z biegiem wieków na mnóstwo sekt i wyznań oraz tak zróżnicował w treści swych zasad wiary, że ściągnięcie tego wszystkiego do jakiegoś wspólnego mianownika, który by mógł stanowić bazę do porozumienia się z katolikami, wydaje się na razie niemal niepodobieństwem. Druga trudność tkwi w tym, że katolicyzm, wychodząc z założenia principialnego, iż przedstawia sam pierwotną, autentyczną formę chrześcijaństwa, że jest jedynym prawowitym właścicielem skarbów Chrystusowych, zajmuje wobec protestantów postawę taką, jak wobec odszczepieńców, wzbraniając się pertraktować z nimi jako z równymi sobie partnerami, a żądając od nich raczej tylko powrotu do opuszczonej macierzy. Stanowisko tego rodzaju, teoretycznie słuszne z punktu widzenia wierzącego katolika, jest jednak psychologicznie nie do zniesienia dla ewangelików dzisiejszych — ludzi, którzy bezpośrednio nie brali udziału w rozłamie, którzy od całych już generacji są ewangelikami, którzy zostali zrodzeni i wychowani w protestantyzmie, przywykli do poszanowania, a nawet pietyzmu wobec niego.

Już te dwie przeszkody są niemałym kamieniem na drodze do zjednoczenia chrześcijaństwa. A przecież jest jeszcze wiele innych kamieni. Pan Bóg ma jednak środki, których nikt z nas nawet nie przewiduje, które dziś wydają nam się wprost nie do pomyślenia. „Drogi boże nie są drogami ludzkimi". Jedno tylko nie ulega wątpliwości, to mianowicie, że od nas wymaga Bóg i w tym kierunku dobrej, szczerej woli.

Ks. Marian Michalski

ZBIGNIEW KUTHAN

KSIĄŻKA O ARCHITEKTACH

DRUKOWANY do niedawna w „Twórczości" i wydany ostatnio w osobnym tomie „Dach nad głową" Danuty Bieńkowskiej jest w założeniu opowieścią o powojennym budownictwie. Tę definicję należy uzupełnić zastrzeżeniem, iż w wykonaniu swego zamiaru uwaga autorki skupiła się przede wszystkim na grupie warszawskich architektów — przedstawionych zarówno w trakcie skomplikowanych procesów ściśle twórczych, jak też w życiu społecznym, zawodowym i rodzinnym, aż po sprawy najbardziej osobiste.

Oczywiście, środowisko to zostaje wszechstronnie zróżnicowane i ogólnowi towarzyszy wyraźny cel unaocznienia ludzkich ewolucji w trakcie przebudowy społecznej. Nie zmienia to jednak faktu, iż, — choćby w zestawieniu z tytułem — utwór nie przestając być dziełem ambitnym, znacznego niewątpliwie talentu i kultury pisarskiej — jest bardziej powieścią środowiskową niż książką o polskim budownictwie dnia dzisiejszego.

Osią opowiedzianych zdarzeń jest działalność wielkiej instytucji projektowej, planującej całe miasta i osiedla. Ośrodek ten został zorganizowany „od małego pokoiku na czwartym piętrze (s. 6) — przez człowieka zdolnego i rzutkiego, lecz chorobliwie żądnego władzy i pełnego jakiejś pogardliwej wiedzy o ludziach, którymi rządzić można groźbą, pochlebstwem lub nadzieją korzyści osobistej.

Ostatecznie, inż. Bostel powoduje dezorganizację w zarządzanej przez siebie jednostce oraz zawalenie się planu produkcyjnego. Sytuację ratuje interwencja nadrzędnych organów partyjnych: nowy sekretarz pomaga w zorganizowaniu brygady młodzieżowej i współzawodnictwa cyklowego. Dyrektor Bostel zostaje zdjęty ze stanowiska i wykluczony z partii. Bohaterem książki jest więc również partia i wychowywany przez nią człowiek.

Koncentrując uwagę czytelnika głównie na pracy biura projektowego autorka starała się ukazać perspektywy tej działalności, a to w rozdziałach opisujących przygotowywanie terenu pod budowę oraz właściwą robotę wykonawczą. Owe interesujące partie traktowane są jednak tylko dopełniająco, i w tej proporcji zagadnień przejawiła się zapewne lepsza orientacja pisarki w rozszyfrowaniu mechanizmu biura niż placu budowy.

Pięknym opisom twórczości architekta, które świadczą zarówno o dokładnym zgłębieniu problemów warsztatowych jak i wszechstronnych przemyśleniach nad współczesnymi zagadnieniami tej dyscypliny — towarzyszy zespół nieznanych laikowi, charakterystycznych szczegółów praktyki zawodu.

Protagonistami tych scen są kierownicy pracowni, wybitni specjaliści, z których każdy uosabia inny sposób reagowania przedstawicieli starej inteligencji na nową rzeczywistość. Pod ich kierunkiem i wpływem pracują młodzi inżynierowie, dorabiający się dopiero imienia w swym fachu, całość zaś organizmu instytucji uzupełniają postacie pracowników administracyjnych i fizycznych.

Książka stara się ukazać, w jaki sposób, na skutek działania organizacji partyjnej, ten klasowo zróżnicowany schemat biura poczyna przekształcać się w jednolity kolektyw. Niełatwy ów proces odbywa się w toku normalnego działania przedsiębiorstwa i ilustruje współrzędność osobistej rzetelności i wyrobienia społecznego u ludzi — z jakością wyników ich działania. I dlatego — powieść opowiadając o zadaniach nowej architektury, opowiada jednocześnie o problematyce wychowania nowego człowieka.

Tak się jednak dzieje, iż jednym z głównych wrażeń, jakie pozostają z lektury, jest zaniepokojenie bogatą galerią ludzi lichych lub wręcz szkodliwych moralnie. Wrażenie to jest tym silniejsze, że autorka podkreśla słabości jaskrawo i z prawdziwym zapamiętaniem satrycznym. Typowości ukazywanej wady towarzyszy jej trafne zindywidualizowanie i przykrojenia na miarę ośmieszonej i oskarżonej postaci. Bostel, Erwin, Rogóyska, Gorzkowski, dyrektorska sekretarka, i wielu innych — oto „sprawy do załatwienia", jedyny w swym rodzaju katalog grzechów głównych a jednak powszechnych. Nieliczne jednostki pozytywne stanowią słabą przeciwwagę wobec tupetu, zaczepności i cynizmu tamtych. Co znaczniejsi matadorzy tworzą kompletne szkoły swych obyczajów. Oddajmy na chwilę głos powieści:

„Po szerokich schodach wszedł szybko Erwin, wysoki, przystojny, pewny siebie. Ukłonił się znajomym z daleka, bez zbytniej uprzejmości. Za nim jak straż przyboczna kroczyli jego współpracownicy. Na wszystkich twarzach odbijało się zadufanie szefa zniekształcone jak w krzywych zwierciadłach. Idący z kraja Kościński, człowieczek szczupły i niepozorny, marszczył srogo brwi i zaciskał usta jak operetkowy dyktator." (s. 361).

Tymczasem wybitny architekt Orański przejawia tak mało inicjatywy, że nie próbuje nawet bronić swych koncepcji twórczych i bez cienia otwartego protestu zdaje się czekać aż wydartą mu z projektowania Nową Rudnię zabudują w sposób absolutnie niezgodny z właściwościami okolicy.

Tę defensywność jedynie, czy też wprost bierność ludzi uczciwych — tłumaczy autorka powołaniem się na prawo ekonomiczne, określające, iż „gorszy pieniądz wypiera lepszy z obiegu", a Frankowscy i Erwinowie (dla powieści synonimy efekciarstwa i sobkostwa) — „potrzebują dużo miejsca". Toteż jednostki dodatnie, w brutalnej walce systematycznie wypierane — żyją w książce jakby o jednym płucu, a ich pozytywne wartości działają w ograniczonym zakresie i obracają się przeciw nim samym. Tak na przykład prowadzone z zamiłowaniem przez Oranskiego szkolenie młodych współpracowników jest powszechnie wyśmiewane i komentowane jako dowód głupoty.

Sukcesy, jakie przynosi oportunizm i kamuflaż działają niezwykle demoralizująco. Postać Rogóyskiej stanowi jaskrawy tego przykład; czytamy o niej:

„Najbardziej drażniło Rogóyską to, że Oranski zamiast trzymać się danych mu wskazówek, a choćby i kaprysów dyrekcji, usiłował wszystko rozwiązać po swojemu. W ten sposób nie zdobywa się uznania. Mimo że młodsza niemal o połowę lat, widziała jasno splot interesów, wzajemnych upodobań i niechęci, których on zdawał się nie dostrzegać, jakby projekt mógł żyć własnym życiem, nie powiązany tysiącem nitek z tamtymi wszystkimi ludźmi. Układ stosunków między nimi należało poznać równie dokładnie, jak warstwice i stan istniejącej zabudowy, jeśli się chciało dziełu swemu zapewnić powodzenie. Rogóyska nie znała wahań. Pięknym w architekturze było dla niej to, co za takie zostało uznane przez ludzi na stanowiskach. Szła szybko naprzód, choć zaledwie parę lat temu zdobyła inżynierski dyplom." (s. 108).

Jakże inaczej prezentuje się stary urzędnik Niedziałkiewicz, który „choć całą swoją działalnością opowiadał się za nowym ustrojem, nigdy tego nie potwierdził słowami, w obawie żeby się to komuś nie wydało niestosowne albo nie poczytane za lizusostwo." (s. 17).

Osłonięcie własnych interesów pozorem dobra społecznego czy wypełnianiem obowiązków przejawia się nie tylko w walce o zarobki i stanowiska, lecz również przy załatwianiu porachunków najbardziej osobistych. Sulatycka pozbywa się niedawnego przyjaciela doniesieniem o jakichś jego przewinach, a następnie — obrażona na dyrektora — inspiruje krytyczny reportaż o stosunkach panujących w biurze. Podobnie Kasia Wojnowska szukając zemsty na Bostelu, pisze inny artykuł, który zresztą dzięki posłużeniu się tym razem niesprawdzonymi informacjami, kompromituje autorkę.

Sposób, w jaki przedstawiono owe zbiorowisko tandety ludzkiej jest wysoce sugestywny, ale — jak się rzekło — zastanowić musi praktyczny bilans tej oceny. Pamiętać trzeba w dodatku, że sam finał książki jest dość dwuznaczny: Oranski nie zwycięża bezapelacyjnie, lecz otrzymuje zlecenie projektowania Nowej Rudni wespół ze swym przeciwnikiem i konkurentem, o którym z powieści wypada sądzić nienajlepiej. Podobnie opis zachowania się części inżynierów zebranych na konferencji w Radzie Państwa nie jest nazbyt budujący, ich zaś dworackie schlebianie chwilowemu zwycięzcy robi wrażenie wręcz przykre.

I dlatego w następstwie przytoczonych wyżej obrazów nasunąć się musi pytanie — skąd wybitne wyniki naszej odbudowy, skoro jednocześnie często dzieje się tak niedobrze. Odpowiedź na to daje sama powieść, gdy przypomnimy sobie niepozorne postacie pracowników aparatu partyjnego. Te centralne jednak dla rozwoju akcji osoby są mało zróżnicowane, a szkicowość ich rysunku, jakaś anonimowość — staje się regułą. Na recepturę ich charakteru składa się zazwyczaj — prostota w obejściu z ludźmi, piętno własnych ciężkich przejść osobistych, ujmowanie człowieka „samego w sobie" i zrozumienie dla jego codziennych, osobistych spraw. (Bilchowa, Gawryś, Rosioniec).

Toteż opatrznościowość, niezawodna skuteczność ich interwencji jest nieco mechaniczna. Przypomnieć się tu chce „Zorany ugór" Szołochowa, i nawskroś ludzkie w swej sile i słabości postacie ludzi partyjnych, bynajmniej nie zawsze nieomylnych, lecz na konkretnych trudnościach razem z innymi uczących i siebie. Tę sugestywną siłę postaci literatury radzieckiej autorka sama zresztą opisuje przy postaci młodego inżyniera Jankowskiego, którego słowa wynikłe z lektury „Daleko od Moskwy" — „z takim dyrektorem chciałbym pracować" — świadczą o głębokim, właściwym młodości pragnieniu heroizmu. I środowisko młodzieży, stygnącej czasem w zapale, lecz nie zepsutej cynicznym koniunkturalizmem, jest drugim pozytywnym momentem powieści.

Zagadnienie właściwego doboru między mężczyzną i kobietą stanowi jeden z ważnych motywów książki. Z przedstawionych wzorów wysnuć można tezę, że wspólne poglądy i koleżeństwo pracy stanowią najistotniejszą więź łączącą ludzi, więź znacznie trwalszą od szybko więdnących, doraźnych upodobań. Niefortunny związek Kasi z Bostelem i Oli z Markiem rwie się szybko we wzajemnym poznaniu. Zbliżą się natomiast, pasujący do siebie — Marek z Sulatycką.

„Sprawę żon" obserwujemy na małżeństwach Oranskiego i Stehlika. Obaj oni, jednakowo pogrążeni w pracy, stwierdzają jakiś kryzys swych domów, choć żony swe szczerze kochają. Przyczyna rozdźwięku tkwi w braku czasu na właściwe życie rodzinne oraz dysproporcji między społeczną i zawodową aktywnością mężczyzny, podczas gdy egzystencja jego towarzyszki uległa zepchnięciu na boczny tor małoefektownych i małowydajnych codziennych obowiązków. Autorka wskazuje rozwiązanie sprzeczności w samodzielnej pracy kobiet, która przywróci im pełne poczucie wartości. W książce jednak — ta nie poparta przykładem sugestia, posiada jedynie walor dobrej rady. Co więcej — pokazane zostało, jak wybitny architekt Oranski „zaczyna dzień od porządków w mieszkaniu a kończy go zmywaniem statków", chociaż żona jego właśnie nie pracuje poza domem.

Książka wystrzega się długich opisów, rozwodzenia nad szczegółami. Środkiem oddziaływania jest jakaś przyśpieszona zwięzłość narracji i swoisty, wyczerpujący lakonizm. W opisie koncertu napotykamy odbicia rozmaitych reakcji na muzykę... „ktoś pozwala gorzknieć ustom", a Kasia Wojnowska — „słuchała muzyki z taką rozpaczą w twarzy, że przygądanie się jej było niedyskrecją" (s. 218). Oczywista plastyka tych jednozdaniowych sformułowań nie wymaga komentarzy. Kiedy indziej czytamy o Bostelu — „...jak zadry tkwiły mu w pamięci nieprzyjemne wydarzenia dnia. Aby się od nich uwolnić, wyobraził sobie Nową Rudnię. Odgrodzony od świata ścianami wyimaginowanych gmachów, niósł ostrożnie do domu skołatane serce".

Podobnie kilka skąpych zdań o starym inżynierze Rączce skutecznie zastępuje drobiazgową charakterystykę (s. 91). Rzecz ciekawa, iż autorka doskonale operując migawkowym, wypraktykowanym może w reportażu opisem, często gubi się w rysunku postaci potraktowanej bardziej szczegółowo. Obserwować to można przy osobie Moniki Sylatyckiej, „pochodzącej z rodziny, w której wszyscy pędzili czwórką koni". Tymczasem drobiazgowo pokazany jej styl życia i obszerna motywacja charakterologiczna przypomina wg. czyjegoś określenia „wielkie rusztowanie do wzniesienia małego domku". Wyjątkowo długi pokaz Sulatyckiej i jej „światopoglądu" stanowi niejaki dysonans wobec nadmiernej zwięzłości i właściwie niemal zdawkowości w ujęciu postaci prawdziwie dla samej książki ważnych jak Halemba czy Gawryś. Autorka przejawia zresztą doskonałe znajomość środowiska Moniki i może mimo woli rozbudowała tę postać bardziej niż wymagała potrzeba powieści.

Zdecydowanie uniknięto tego przy doskonałej sylwetce Frankowskiego, w którym obok bezdusznego i chciwego rzemieślnika widzimy jednocześnie osieroconego ojca — a zestawienie to nie sugeruje bynajmniej rozbrojenia moralnego wobec szkodliwości jego działania.

Przekonującym w swej linii generalnej losom Kasi Wojnowskiej — dziewczyny, która zadufawszy w siebie, zdecydowanie pobłądziła — brak konsekwencji w szczegółach. Dziwna jest jej kariera w Warszawie, gdy dwudziestoletnia dziewczyna z prowincji, bez zawodu i wykształcenia — otrzymuje dość odpowiedzialne stanowisko i mieszkanie na Marienszlacie (którego nie może zdobyć np. Czernak, kierownik pracowni architektonicznej...). Przypisać to można ostatecznie protekcjonizmowi; z jakich jednak środków Kasia szyje sobie suknie zyskujące uznanie snobowatego Bostela i za co kupuje meble w „Ładzie" — trudno się domyślić.

Podobnie Bostel, fałszywy „bohater naszych czasów". Wydaje się nazbyt przepełniony dramatyczną niezłomnością. Przegiętą szalę wyrównałoby uprzytomnienie, iż tkwi w nim również coś z szalbierza i pospolitego krętacza.

Książka jest w sumie bogata, rozrośnięta, i — chciałoby się rzec — nie imperatywna, lecz dialektyczna w swych tezach. Jej specyfikę stanowi pobudzanie czytelnika do przemyśleń i rozplątania w samym sobie problemów często przez autorkę niedopowiedzianych do końca. Mimo zgrabności i schludności formy, powieść nie jest lekturą beztroską i łatwą. Wiele w niej namysłu, zastanowienia i odbicia niełatwych dni, które stały się naszym udziałem. „Nasze czasy odsuwając starość, czynią jej nadejście tym smutniejszym..." — powiada jeden z bohaterów powieści, ale świadomości tej towarzyszy u niego poczucie głębokiej odpowiedzialności za swoją epokę. I wydaje się, że cała książka Danuty Bieńkowskiej powstała z dobrze pojętego poczucia współodpowiedzialności.

*) Danuta Bieńkowska — „Dach nad głową". „Czytelnik" 1953, str. 367, cena z. 15.—.

Powoli człapał konik...

(Dokończenie ze str. 3)

krutują się oni z napływowej młodzieży — mówi dalej dyrektor.

A ponieważ nie ma również żadnej świetlicy, gdzie młodzi pomowcy mogliby pod właściwym kierunkiem spędzać wolny od pracy czas, więc zamiast szachów, książek, czy radia — wódka, bijatyka, milicyjne protokoły i sprawy sądowe. Krótko mówiąc — atmosfera wcale nie sprzyjająca rzetelnej pracy.

A co do tych zakończonych remontów — to wychodzi znowu szydło z worka. Wcale nie wiadomo czy tego lub owego nie trzeba będzie ponownie naprawiać.

Tonące w błocie podwórza maszyny narażone są na wszelkie kaprysy wiosennej pogody, tak że nawet na pewno niejedno trzeba będzie jeszcze poprawić.

— Jesteście tu już przez trzy lata, czy nie można było się postarać o wybudowanie jakichś, chociażby prowizorycznych szop na maszyny?

— Tak, dwa lata temu postanowiono wybudować taką, nawet wcale nie prowizoryczną szopę. Zatwierdzono plany. Zwieziono materiał, wykopano fundamenty i... zjechała się jakaś komisja rzeczoznawców, którzy orzekli, że teren nie nadaje się do budowy. Grunt podmokły, woda... Materiał niszczał przez półtora roku na powietrzu, poczem resztki odwieziono z powrotem. Teraz podobno mają nas gdzieś przenosić, to nie opłaci się tu już nic robić.

Na środku podwórza, jak palec wygrażający marnotrawcom, wznosi się wysoki na kilkadziesiąt metrów komin starej cukrowni, pod którym jakoś nie rozstępuje się podmokły grunt.

Krążąc po szreniawskim ośrodku przypadkiem trafiamy na położone już na tyłach pomowskich zabudowań małe pólko. A na tym pólku... O zgrozo! Tuż pod nosem POM-u... człapie leniwie konik, ciągnąc za sobą pług. Za pługiem grzęźnie w świeżej wilgotnej ziemi oracz, jakgdyby nie dostrzegał stojących bezczynnie pomowskich maszyn.

— Czyżbyście byli już tak zawaleni robotą, że żaden traktor nie znalazłby chwili czasu dla sąsiada?

Dyrektor rumieni się po białka oczu. Pytanie jest wyraźnie żenujące. Długo milczy, wreszcie macha zrezygnowany ręką i tonem żałosnej skargi zaczyna snuć opowieść.

— Czasu mamy aż nadto. Dotychczas pokryte mamy umowami zaledwie 35 proc. planu. I to tylko w spółdzielniach. Z indywidualnymi gospodarzami nie idzie zupełnie. Przeważnie mają konie. Nie chcą słuchać o traktorach. Nawet nie próbujemy ich przekonywać. Bo cóż rzeczywiście mają zrobić z końmi. A przy tym poletka małe, rozrzucone w kilkunastu miejscach. Raz z górki, raz pod górkę. Traktorem ciężko wjechać. Nawet, jak już dobrnie na pole, to jedną skibę odwali i nie ma sposobu zawrócić, ponieważ wjechałby na pole sąsiada. Próbujemy jeszcze przekonać chłopów, namawiamy, ale z planem będzie ciężko. Ubiegłe lata też nie były lepsze. W 1952 roku wykonaliśmy tylko 65 proc., a w roku ubiegłym niby już lepiej — 73 proc. Może uda nam się jeszcze trochę zakontraktować, ale chłopi u nas bardzo do maszyny niechętnie usposobieni.

Teraz staje się wszystko jasne. Ludzie ze szreniawskiego ośrodka nie zdają sobie widocznie sprawy, że właśnie oni, pracownicy Państwowych Ośrodków Maszynowych mają budować nową, polską wieś. Wieś wyleczoną z konserwatywnych zabobonów, opartą o nowoczesne, naukowe metody uprawy. Że od ich ofiarnej postawy i umiejętności znalezienia wspólnego z chłopem języka zależy podniesienie poziomu naszego rolnictwa, naszej całej gospodarki. Zapomniano im widocznie o tym powiedzieć. A może oni nie chcieli zapamiętać?

Ładuję się na swoją furkę i znowu wpływamy na roztopy podmokłej drogi. Kopyta końskie klaskają w błocku i zlewają się ze skrzypieniem kół w jedną, smutną melodię. Szaro. Zimno. Deszcz zaczyna padać. Szreniawa ginie powoli w szarudze.

*

BITA, szeroka, droga prowadzi do Państwowego Ośrodka Maszynowego w Kleczy Dolnej. Mimo mżącego deszczyku można, nie zapadając się po kolana w błocie, prawie suchą nogą dotrzeć na miejsce. Z głośnym trąbieniem mija mnie mały „Zetor", prowadzony przez młodego traktorzystę. Na masce siedzi w akrobatycznej niemal pozycji taki sam młody mechanik i obserwuje działanie motoru. — Próbna jazda.

Wchodząc na dziedziniec, uszy mam już pełne stuku motorów. Kilka traktorów „stoi na pełnych obrotach" — wśród nich uwijają się traktorzyści i mechanicy.

— Gdzie dyrektor? A był tu przed chwilą. Pewnie poszedł do warsztatu — mówi uśmiechając się bardzo młody mechanik i pokazuje ręką kierunek.

Wchodzę do warsztatu. Dyrektor był, ale dopiero co wyszedł. Poszedł do kuźni. Już chcę wychodzić, ale zatrzymuje mnie rozpięty na ścianie, biały niewielki arkusz papieru — „Błyskawica".

„... i niech ci towarzysze, którzy podpisali listy gwarancyjne na sprzęt mechaniczny jeszcze raz dokonają przeglądu powierzonych im maszyn, aby listy te były prawdziwą gwarancją najlepszego wykonania przez nich zadań..."

Trafiłem akurat na ten przegląd. W pogoni za dyrektorem wchodzę do kuźni, tu jednak z kolei dowiaduję się, że w tej chwili na pewno jest w biurze.

— O nasz dyrektor to jednocześnie wszędzie jest — mówi kowal. — Wszystko musi sam dojrzeć, dopilnować.

Rzeczywiście, dyrektor Stanisław Ziemianin jest prawie jednocześnie wszędzie. Łapię go w drzwiach jego kancelarii. Już wychodzi. Przyjechał właśnie nowy starszy mechanik, któremu trzeba wszystko objaśnić i pokazać. Korzystam więc z okazji i razem ruszamy w obchód. Wszędzie czystość i porządek. Maszyny poustawiane w szopach, traktory w garażu. Wszystkie budynki nowe, lub niedawno odnawiane. Pługi i kultywatory, które nie zmieściły się w szopach, stoją w równych szeregach na dziedzińcu. Aż lśnią od tłuszczu. Zatrzymujemy się przed małym budynkiem z czerwonej cegły.

— Tu przenieslemy wkrótce magazyn części zamiennych — mówi dyrektor.

— Dużo musieliśmy się nachodzić i nabłagać, żeby zdobyć materiały i pomoc finansową na te nasze budowy. Z początku tam, u góry, wykrzywiali się i zwłóczyli, ale kiedy przyjechali do nas i zobaczyli nasze dotychczasowe osiągnięcia wszystko się jakoś znalazło. Zrozumieli naszą pracę. Teraz to już idzie dobrze, ale kiedy zacząłem pracować w Kleczy — a jestem tu od początku, od marca 1951 roku — to nie było nawet gdzie spać. Wszystko było w ruinie, ani jednego całego budynku. Początkowo musieliśmy sami sobie radzić. Chłopi byli w stosunku do nas strasznie niechętni. Drzwi przed nami zamykali. Ani jajka, ani chleba, ani mleka sprzedać nam nie chcieli. — Kołchoźniki — mówili — przyjechali, będą spółdzielnię zakładać. — Wody nie było na miejscu — sami zbudowaliśmy rurociąg od pobliskiego źródła. Ta droga to też nasze dzieło.

A stosunki ze wsią — dyrektor Ziemianin uśmiecha się wesoło — to już przestało być dla nas problemem. Poszliśmy wszyscy między chałupy, gawędziliśmy, radziliśmy w trudnościach, przekonywaliśmy. Tylko nie tak po gazetowemu, a po naszemu, po chłopsku, bo ja też chłop. Tłumaczyliśmy, że w jeden dzień traktor zaorze pięć razy więcej niż koń, że kosztować będzie taniej. Pracowaliśmy w spółdzielniach, chłopi porównywali nasze wyniki ze swoją, końską gospodarką, no i dziś... dziś to nie wiemy jak rozplanować pracę, żeby nikogo nie opuścić, do wszystkich zdążyć i żeby każdy był zadowolony. Maszyny mamy gotowe w stu procentach, za to umów mamy już na przeszło 100 proc. naszego planu.

Przypomina mi się Szreniawa. — Koni tu widać mało, a gospodarstwa pewnie większe i mniej rozbite.

— Gdzie tam, koni tu nie mało. Ale już niektórzy gospodarze sprzedają konie albo używają je tylko do lżejszych prac, orza zaś wyłącznie maszymi traktorami — mówi dyrektor. — Zdołaliśmy już przekonać chłopów do wstępowania do tzw. „grup uprawnych". Wytycza się tylko kołkami pola, a traktor — miedza, nie miedza orze od razu duży szmat ziemi. Nie obyło się oczywiście bez lamentów i złorzeczeń. Baby nam się rzucały pod koła, czekały trzęsienia ziemi i wykrzykiwały, żeby wygubiło „kołchoźników".

Trzęsienia ziemi nie było, a dziś ci, co najgłośniej przeciw nam urągali pierwsi idą podpisywać zgłoszenia do spółdzielni produkcyjnych. W roku ubiegłym powstało ich w naszym okręgu osiem.

Wracamy do dużego, piętrowego budynku, w którym na parterze mieszczą się biura, na górze zaś mieszkają pracownicy.

— Tam mamy kuchnię — objaśnia dyrektor — a tu — otwiera drzwi do dużej jasnej sali — świetlicę.

Na środku stół ping-pongowy, pod oknem na stoliku radio, pod ścianami szafy z książkami.

— Ta biblioteka to nasza duma. Mamy już dużo ciekawych książek. I powieści i fachowych. W świetlicy urządzamy pogadanki, wykłady, rozgrywki ping-pongowe i szachowe, różne występy artystyczne. Cała wieś do nas przychodzi. Teraz remontujemy stary pałac, w którym na górze zrobimy mieszkania dla pracowników z rodzinami.

Robi się późno i czas pożegnać energicznego dyrektora. Wychodzimy na korytarz. Na ścianie wiszą oprawione w ramki fotografie: Stanisław Master 155 proc. normy, Julian Kaliński 130, Edward Zając 120. — Oni zdobyli dla naszego POM-u proporzec we współzawodnictwie, za zeszły rok — powiada dyrektor. — Więcej jest zresztą takich, którzy przekraczają normy, ale ci są najlepsi.

— Życzę wam tego proporca i na ten rok — żegnam dyrektora i wychodzę na „pomowski" trakt...

Młody traktorzysta zapuszczając motor nuci piosenkę: „Wio koniku, a jak się postarasz..."

Jaki tam koniku! — W Kleczy Dolnej już „młodość śpiewa nową pieśń".

Marian Chrzezonowski

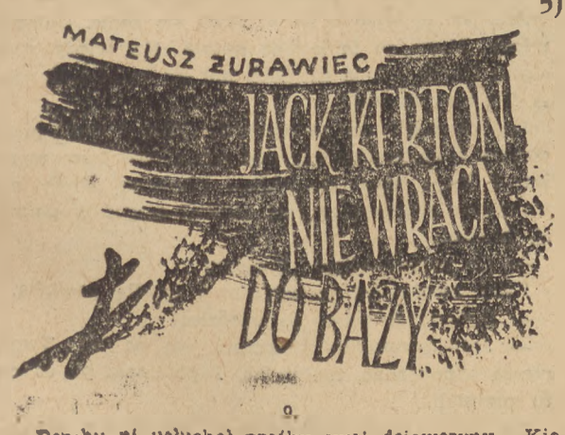

5)

Pen-hu ni usłuchał prośby swej dziewczyny. Kierowca z blizną na twarzy nie chciał lub nie mógł niczego wyjaśnić. Trzeba było jak najszybciej dotrzeć do Sen-ku-faj. Pen-hu wiedział, że łamie jakieś prawa dyscypliny, że prosi o coś, czego wyrzec się powinien, był jednak bezsilny. Poszedł prosić podporucznika Wu-czena o zwolnienie na kilka godzin. Powiedział gdzie i dlaczego chce iść. Głos mu cichł i falował niebezpiecznie, ale powiedział wszystko. Wu-czen przyjrzał mu się bacznie zza drucianych okularów, trzymał go długo w uwięzi spokojnych oczu, wreszcie zajrzał do notesu, przytknął niemal nos do zapisanych gęsto kartek i nie patrząc już na Pen-hu objaśnił, że za kwadrans wyrusza nowa ekipa do Jong Kongu. To po drodze do Sen-ku-faj. Na pewno na którejś z ciężarówek znajdzie się miejsce dla Pen-hu. Musi tylko wyszukać zastępcę na swój dyżur przy chorych jeńcach. Trzeba ich bacznie obserwować, no i — tak, niestety — trzeba ich leczyć, a to wymaga czuwania.

Na drodze do garażu Pen-hu natknął się na Sektin-wo. Gdy usłyszał o co chodzi, życzliwie mrugnął i tak już przymkniętym okiem. Zgodził się na zastępstwo bez trudu. Z dobrodusznym uśmiechem obnażając poczerniałe pieńki zębów klepał życzliwie młodego żołnierza po ramionach.

Pen-hu nie czuł niemal zupełnie nierówności drogi. Źle resorowany wóz podskakiwał na wybojach, zapadał się w płytko przysypane leje od bomb, ale on otulony ciasno szynelem, z podbródkiem skrytym w kołnierzu waciaka, zdawał się nie zauważać gwałtownych podrzutów.

Ściskał w dłoni wachlarz, zapocony już od kurczowego magniotu palców i rzucał w siebie czy też w osłonioną przestrzeń zadyszane pytanie. Dlaczego? Co się stało? Przecież żyje. Jeśli sama oddała wachlarz — to znaczy żyje. Więc dlaczego oddała? Jak to rozumieć? Przestała kochać? Dlaczego? Dlaczego? Przecież gdy darował jej ten upominek ona, tak zawsze zawstydzona i nieśmiała, wspięła się lekko na palcach i opierając mu dłonie na barkach, pocałowała go lekko w policzek. Pieściła potem wachlarz, przytulała do piersi, cieszyła się jak dziecko. Powiedziała takie ładne zdanie. Jak z książki. Zaraz zaraz... Acha: „Jest tak barwny i śliczny jak nasze przyszłe szczęście". Tak powiedziała. A teraz...

Pen-hu zacisnął dłonie. Pod palcami chrupnęła kostka powleczona jedwabiem. Przestraszył się i lekko dotykał pęknięcia. Dlaczego? Dlaczego oddała jego mandarinnych? Nie chce Pen-hu? Odrzuca teraz w czas trudny i bolesny jego jedyną, pełną miłość?

Samochód nagle stanął. Skręcał na lewo. Na prawo odchodziła w bok droga ku Sen-ku-faj. Pen-hu już teraz nie pamięta tej drogi. Nie pamięta jak przeszedł te pięć czy siedem kilometrów. Pamięta tylko, że gdy dochodził do pierwszej zwęglonej chaty zabrakło mu na chwilę tchu. Potem znów ruszył biegiem. Rozpięty szynel bił po kolanach. Pęd wiatru odginał ku górze daszek płóciennej czapki. Gdy stanął przed wejściem do chaty starego Rama, gdzie powinna być Li-wen-si, czuł jak po plecach pod waciakiem spływa mu lepkie gorąco. Potem skok w ciemną sień. Na przeciw wyszedł stary Ram-wen-ai. Nie zdziwił się nagłymi odwiedzinami. Wziął przybysza bez słowa za rękę i wprowadził do małej izdebki. Dziewczyna leżała na przykrytej koźlimi skórami pryczy.

Rys. Andrzej Pol

Pen-hu jeszcze teraz czuje skurcz w gardle. Li-wen-ai nie uniosła nawet głowy. Najtrudniej chyba było podnieść głowę. Przesiąknięty krwią zawój bandaży czynił ją wielką jak beczułka. Twarz była przekreślona przewiniętym na ukos opatrunkiem.

Pen-hu usiłuje przełknąć ślinę. Zbyt dokładnie pamięta ten obraz. Tam, gdzie była twarz Li-wen-ai, gdzie był uśmiech Li-wen-ai, usta Li-wen-ai, pod bielą strzępiastych szarpi pozostała tylko czarno-spopielona, czerwono-sina plama. Nie było twarzy Li-wen-ai, nie było jej uśmiechu, nie było ust.

Pen-hu nie mógł oderwać nóg od ziemi, nie mógł przestąpić progu izdebki. Na ramieniu zaciążyła mu dłoń starca. Jeszcze bardziej ciążyła mu napięta cisza. Krzyknął zduszonym szeptem:

— Przyszedłem. Jestem. Nie poznajesz mnie, Li?

Owinięta bandażami głowa nie poruszyła się na poduszce. Spod zakrwawionych szarpi zbielałe oczy patrzyły w pułap.

Pen-hu krzyczał:

— Li! Jestem! Przyniosłem z powrotem twój mandarinnych! Li! Odezwij się! To ja, twój Pen. Li! Nie widzisz mnie? Nie poznajesz? Li?!

Dłoń starca twardniała mu na ramieniu. Pociągnął go w mrok sieni. Tam powiedział, że Li nikogo nie poznaje, nikogo nie widzi. I nigdy nie zobaczy świata. Migu rzucił ogień. Migu jej wydarł świat wraz z blaskiem źrenic. Li była jeszcze kilka godzin temu przytomna. Wtedy kiedy przyjechał ten z blizną na twarzy. Dała mu wachlarz. Nie mogli jej zabrać z sobą, może zabiorą później, teraz byłoby to zbyt niebezpieczne. Li mogłaby umrzeć w drodze.

Stary opowiadał to wszystko spokojnie, jakby nie chodziło o jego córkę, lecz o sen. Dopiero gdy Pen-hu odchodził na swój punkt staremu zatrzęsła się broda i pochylił głowę na piersi ruchem człowieka, który chce usnąć.

Pen-hu nie pamięta drogi powrotnej. Szedł naprzełaj, zapadał się w śnieżne zaspy, mróz kąsał go w policzki. Świat był pusty, jak pęcherz nadmuchany powietrzem. Pen-hu dotarł po trzech godzinach

ZYGMUNT LICHNIAK

Dyskutujemy o młodzieży

O zarażonych wojną

FILM Koźniewskiego i Forda — „Piątka z ulicy Barskiej" doczekał się w ciągu bardzo krótkiego okresu czasu niespotykanej u nas ilości omówień. Sam przeczytałem ich chyba... dziesięć, a nie jestem przecież filmowcem. Wyobrażam sobie, ile się naczytać musieli specjaliści! Zebrałoby się pewnie tych recenzji na spory tom. Byłoby to coś w rodzaju monografii największego chyba w powojennym dziesięcioleciu sukcesu polskiej produkcji filmowej. Bo wszystkie recenzje zgodne są w jednym stwierdzeniu: niewątpliwy sukces.

Stwierdzamy ze swojej strony sukces recenzentów: nie pomylili się w stwierdzeniu sukcesu. Film „bierze", film nie rozczarowuje, na ten film pójdzie się drugi, czy — po latach — trzeci raz. A to bardzo, bardzo dużo po filmach, które jak „Gromada", „Stalowe serca" czy „Jasne łany" — opuszczać się chciało w połowie.

Co jest zasługą tego filmu, a zarazem przyczyną jego sukcesu? Na pewno — obok filmowej sprawności wyrażenia problemu — ideowa odwaga i trafność w **wyborze** problemu, ideowa rzetelność i głęboko humanistyczna postawa wobec — jak się okazało — zwycięskich prób **rozwiązania** problemu.

*

Problem zarażenia młodzieży przez wojnę, zarażenia nienawiścią, śmiercią, cynizmem. W różny sposób opowiadał nam o tym problemie snop projekcyjnego światła w sali kinowej. Światło to nie zawsze potrafiło rozpędzić mrok wątpliwości, często tylko mocniej uwypuklało kontury, podkreślało pytajnik, zaostrzało uwagę.

Pamiętamy „Gdzieś w Europie", pamiętamy „Dzieci ulicy", pamiętamy „Braci Benthin". To był problem światowej, nie tylko polskiej skali.

Był i jest. Oto równolegle niemal z naszą „Piątką" we Francji powstał film — przy uwzględnieniu odmienności lokalnych oraz wszystkich konsekwencji uwarunkowania tamtą sytuacją — analogiczny w swoim kierunku zainteresowań · niepokoju o młodzież skrzywioną przez wojnę. Film Charles Spaaha i Andre Cayatte'a nazywa się „Przed potopem". Nazwać by go można „Trójką z Lagny".

Sami się tak nazwali: J 3. Trzech chłopaków, opanowanych histerią przyszłej wojny, zarażonych tragedią wojny minionej. W planowaniu

idiotycznej eskapady zabijają — przy rabunku — dozorcę. Boją się zdrady ze strony jednego ze swoich rówieśników. Znowu morderstwo. Łapie ich policja. Stają przed sądem. Zamykają się za nimi bramy więzienia dla nieletnich.

Filmowcy mogliby wyliczyć znacznie więcej przykładów obrazu tej samej problematyki na ekranach wielu krajów.

*

Wspominając filmy, które ukazywały i ukazują zagrożenie młodzieży nie miałem zamiaru sugerować jakichś identyczności czy choćby podobieństw koncepcyjnych lub artystycznych. Wiem, że pamiętać trzeba o różnicach. Istotne jednak jest stwierdzenie powszechności problemu „Piątki", chociaż oczywista jest jej polska specyfika zarówno w przedstawieniu jak i rozwiązaniu sprawy naczelnej.

Oglądając po raz drugi film, nie mogłem jednak obronić się przed myślami o francuskiej „Trójce". O tym, że — mimo niejasności rozwiązania tam sprawy młodzieżowej zarażonej wojną — film — ze względu na wyrazistość oskarżenia systemu wychowawczego uznano za niebezpieczny. Pan Andre-Francois Mercier, piastujący z ramienia M.R.P. urząd deputowanego z Deux-Sèvres, chytrze uznał film za „une insulte pour l'ensamble de la jeunesse francaise". A prefekt okręgu Alpes — Maritimes zarządzeniem z dnia 6 marca zakazał wyświetlania filmu „Avant le Déluge" na swoim terytorium. Między 25 marca a 9 kwietnia odbywać się ma festiwal w Cannes. A Cannes leży akurat w departamencie Alpes-Maritimes.*)

Musiałem myśleć o „Trójce", oglądając „Piątkę". Należy myśleć o ustroju, który boi się choćby części prawdy. Pomaga to w zrozumieniu zwycięskiej siły ustroju, który nie lęka się prawdy gorzkiej, by w wysiłku przemiany — zadać jej kłam,

*

Jedno z głównych zwycięstw ideowych filmu Koźniewskiego i Forda leży w ukazaniu gorzkiej prawdy zarażenia wojną. W okresie intensywnego i twórczego dyskutowania problemu młodzieży jest to głos najbardziej twórczy. Śmiałe postawienie diagnozy, dalekie od bojaźliwej eufemiczności, pełne realistycznej pasji — pozwala na głębsze rozważanie środków zasadniczych, skłania ku poważniejszemu opisowi dróg wyjścia, odcina od szkodliwych uproszczeń, krótko mówiąc: urzetelnia proces walki o przemianę tej części młodzieży, której zarażenie wojną groziło śmiercią człowieczeństwa, pchało nad skraj przepaści.

Grupa chłopców, pokazanych w filmie, jest — tak zresztą jak była w powieści — śmiałym wyrazem dewastacji ideowo-politycznej, przede wszystkim zaś formalnej, której u wielu dokonała wojna. Film w sposób antybibułkowy, nie przez matowe szybki, nie w klimacie łzawo-sentymentalnych ogólników, lecz poprzez ostrą konstatację, w sposób chirurgicznie precyzyjny ukazuje początkowe stadium wewnętrznego zarażenia: bezideowość słabszej młodzieży, wzrastającej w wojennym okresie tragicznego dewaluowania człowieka czyni z niej w rękach dywersantów i zaślepieńców narzędzi zbrodni, siłę samoniszczycielską i antyludzką.

*

Siła ideowa filmu, który gdyby poprzestał na najsłuszniejszej nawet diagnozie, byłby tylko — jeśli tak się wyrazić można, półfilmem — tkwi w mądrym i przekonującym ukazaniu terapii.

Chłopcy z ulicy Barskiej, a właściwie chłopcy ze ślepego zaułka odkryli przed sobą drogę przyszłości. Oczywiście, nie jest rzeczą merytorycznie ważną, że ślepą zawaloną gruzami uliczkę opuścili przekopując się tunelem trasy W—Z. Ważne jest, że dojrzeli do zrozumienia, iż przyszłość młodości jest tam, gdzie jest występująca linia rozwoju historycznego, gdzie dążą siły historii przeobrażające świat.

Film ukazał tę prawdę w przekonującym wymiarze przeżyć swoich bohaterów, w ich wzruszeniu z twórczego uczestnictwa w historii. Dla tych chłopaków jest ważne to, że są potrzebni rzeczom pięknym, sprawom o strzelistych proporcjach ciągłego rozwoju. Zenon ich trzymał strachem, podniecał alkoholem, żądzą bandyckiej przygody, dolarowymi mistyfikacjami siły. Zenon ich nie kochał, nie szanował, nie wierzył w nich. Wojciechowski dał im szansę przywrócenia szacunku dla samych siebie, dał im radość wiary w siebie. Zenon nie mógł inaczej. Był takim jak świat, o który walczył. Dlatego przegrał. Wojciechowski też nie mógł inaczej. Był takim, jak świat, o który walczy. Dlatego wygrał.

*

Nic chyba tak nie szkodzi słusznym ideom, jak sacharyna. Lepiej nie dosłodzić, niż przesłodzić. Nawet szlachetna w intencjach dążność do uładnień ideologicznych jest nieświadomą może, ale niebezpieczną dywersją ideologiczną. O słuszności i wielkości przeobrażeń ideologicznych nie świadczy ich gładkość czy pośpiech, często więcej o nich mówi właśnie powolne, nieraz nawet recydywistycznych załamań bliskie, chropawe wydobywanie się z ludzkiego błędu, ludzkiej słabości, czy głupiej pychy. Biada tym, którzy zwichrzoną grzywę Nowego przyczesują w grzywkę lub poddają wiecznej ondulacji!

Niby wszyscy wiedzą o tym. Ale nie wszyscy pamiętają. Najbardziej chyba boli, gdy zapomina o tym sztuka. Najwięcej kłuje w oczy, gdy nie pamięta o tym film.

Odetchnąłem z ulgą po obejrzeniu „Piątki". Odważna w stawianiu diagnozy, okazała się także śmiała i rzetelna w ukazaniu procesu stosowania i skutkowania terapii. Chorzy nie zdrowieją w ciągu pięciu minut po zażyciu pigułki antydraniny, nie działają w nich z soboty na niedzielę trzy łyżki stołowe wyciągu z ziółek deklaratki bladolistnej. Nie ma tu tych leków. Działa obiektywny układ rzeczywistości społecznej. Działa prawo rozwoju świadomości. Powoli, przekonująco, poprzez osobiste, nie tylko intelektualne, ale przede wszystkim (czy raczej: w pierwszej fazie) doznanie emocjonalne

Rytm przemiany chłopców w „Piątce" jest rytmem życia.

Czy jednak w „Piątce" jest ich na pewno pięciu? Obliczenia się mylą. Niby jest czterech. Tych dwóch z budowy, ten z konserwatorium i ten kulawy. Piąty (Franek, ten o draniowatej gębie, co to wali butelką po łbie jednego z pijaków w odkrytej piwniczce i rabuje wódkę chyba na handel) jakoś ginie...

Nie, jest! Siedzi w więzieniu. Jest obecny w filmie swoją nieobecnością. Trzeba pytać, co z nim będzie? Jakimi drogami pójdzie, gdy wróci ku raz już ofiarowanej mu i własnoręcznie zadławionej wolności. Może chuligani są jeszcze teraz w pociągach podmiejskich? Oto problem wyostrzony w filmie milczeniem.

Więc — nie czterech, lecz pięciu. A może — nie pięciu? Jest Lutek, syn paskarza, zaufany Zenona. Umiał się kryć. Może uciekł? Może korzysta z jakiejś mimikry?

To — może „szóstka"?

A dlaczego nie siódemka? Był przecież Radziszewski, zamordowany w ruinach...

Rachubę można zmieniać. Nawet trzeba. Film zróżnicował problem i — nie tracąc nic z zasadniczej jedności — ukazał poprzez wielorakość swoje bogactwo i swoją złożoność.

Jeszcze jeden tytuł do chluby.

*

I wreszcie sprawa nieodłączna od wszystkich poprzednich: filmowość filmu. Napisali o niej wiele filmowcy. Gdybym był filmowcem, tak jak jestem filmomanem, rozpisywałbym się długo i analitycznie o mądrze powściągliwym montażu, o świetnych dzięki niemu zawęźleniach sytuacji, o dojrzałej grze tak zazwyczaj w naszych filmach niedojrzałych młodych aktorów, pochwaliłbym dyskretne pointy poszczególnych sekwencji, a zwłaszcza końcowej z tym powolnym skupianiem się światła na czole. Oczywiście, miałbym też chęć i nadal oberkiem przecwałować radośnie (mimo „Młodości Chopina") i przyklasnąć, pomysłowości przejść i zbliżeniom przyjemne słowa poświęcić. O pewnych brakach też bym się może ośmielił bąknąć: te makiety tak okrutnie tekturowe! Tych wspinaczek po schodach chyba trochę za dużo? Ta sala w domu akademickim raczej zbyt zagęszczona, ten chwyt z cieniem palców matki na twarzy syna pewnie nader filmowy, woda w kanałach chlupie tak, jakby pod krzesłem w kinie ktoś z bańki w bańkę coś przelewał...

Ale nie jestem filmowcem, więc nic o tym nie napiszę, a tym bardziej o wspomnianych brakach, które nie zmieniają faktu, że „Piątka z ulicy Barskiej" jest w swej wymowie ideowo-artystycznej filmem głęboko zwycięskim.

*) Według ostatnich doniesień prasowych wskutek wytężonej kampanii sił postępowych film „Avant le Deluge" został jednak dopuszczony do uczestnictwa w festiwalu w Cannes.

NOWOŚĆ NOWOŚĆ

Stefania Skwarczyńska
WSTĘP DO NAUKI O LITERATURZE
tom I, s. 474 Cena zł 45.—

WZNOWIENIE WZNOWIENIE

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
t. I—II s. 481+445 Cena zł 50.—

NOWY TESTAMENT
przekład ks. E. Dąbrowskiego
ozdobna oprawa płócienna ze złoc.
cena zł 65.—

Św. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
trzy tomy po zł 25.—

Św. Hieronim
LISTY
trzy tomy po zł 34.—

Singrid Undset
KRYSTYNA CÓRKA LAVRANSA
trzy tomy cena zł 75.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax", Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu na konto PKO, W-wa, I-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

O PRZEKONANIACH SPOŁECZEŃSTWA

(Dokończenie ze str. 2)

ski w naszej religii, musimy cieszyć się z każdego człowieka, który przychodzi do Kościoła. Nie wchodząc w intencje wielu z tych ludzi, musimy jednak w trosce o prawidłową ocenę stanu posiadania naszego światopoglądu stwierdzić, że o postawie katolickiej można mówić dopiero wtedy, kiedy przejawia się ona nie tylko pewnym aktem zewnętrznego wyrazu, ale kiedy za tym aktem idzie wiara uświadomiona, nie mówiąc już o konsekwentnej praktyce i całej intelektualnej stronie postawy świadomego katolicyzmu głębi. Niestety wielu ludzi, którzy chodzą nawet dość często do Kościoła, poza aktem zewnętrznego wyrazu z katolicyzmem w swym życiu nie mają nic wspólnego. Powierzchowna bowiem analiza stanu religijności na podstawie czysto zewnętrznych tylko przejawów nie może być miarodajna dla oceny stanu posiadania światopoglądu katolickiego w Polsce.

Z kolei należy zwrócić uwagę na istotne zjawisko, że z całą pewnością wielu ludzi w Polsce opowiadających się za nowym porządkiem społecznym, nie wyznaje jednocześnie założeń światopoglądu materialistycznego. Ten fakt tworzy perspektywy dla założeń ideowych, które łączą wyznawanie światopoglądu katolickiego z zasadami społeczno - gospodarczymi socjalizmu. Perspektywy te będą się rozwijały pod warunkiem, że zarówno katolicyzm, jak i postępowość społeczna tych założeń będą rzetelne. W ten sposób w ramach Frontu Narodowego tworzą się perspektywy współistnienia różnych światopoglądów, przez współdziałanie katolików z marksistami nad realizacją społecznych celów rewolucji socjalistycznej w Polsce. To współdziałanie ludzi o różnych światopoglądach jest kapitalnym czynnikiem przyspieszającym ostateczną przemianę świadomości społeczeństwa w kierunku słusznych celów rewolucji socjalistycznej i jej nowego porządku społecznego. Katolicy polscy wtedy włożą największy wkład w dzieło kształtowania się w ramach Frontu Narodowego jednej patriotycznej świadomości socjalistycznej całego narodu, jeśli pozostając wierni i konsekwentni wobec własnego światopoglądu, z całą precyzją będą rozumieli i bezkompromisowo realizowali linię Partii i Rządu w sprawie społecznej, socjalistycznej przebudowy kraju.

Andrzej Micewski

SPROSTOWANIE

Da artykułu Leszka Proroka pt. „Na bezdrożach formalizmu", druk. w Dziś i Jutro nr 11 (433) wkradły się trzy przykre błędy korektorskie, za które Redakcja przeprasza i autora artykułu i Czytelników.

1. szpalta pierwsza (od lewej) wiersz 12 od góry: zamiast „baczna" ścieżka, powinno być oczywiście „boczna" ścieżka.
2. ta sama szpalta w. 15 od góry zamiast: „głównego **traktatu** literackiego" powinno być „głównego **traktu** literackiego".
3. szpalta ostatnia t. j. szósta, w. 18 od góry: — nie „w batalionach krytycznych", a w „bataliach krytycznych".

---

do swojego punktu, od pół godziny sprawuje dyżur po Sek-tin-wo, ale ciągle jest gdzie indziej. Niby w izbie szpitalnej, obok łóżek dwóch jeńców, ale właściwie — nigdzie. Ze środka pustki idzie ku niemu straszliwy ziąb czy wołanie. Niby nic go nie boli, ale cały jest bólem. Boi się ruszyć, aby nie chwyciła go męka, którą chce przyjąć (jak najpóźniej. Siedzi więc zastygły w bezruchu z kolanami podkulonymi pod brodę, objętymi wieńcem rąk, z nadłamanym wachlarzem wśród placów. Patrzy w okno, ponad głowami leżących, ale nie widzi nic.

Nie widzi, że od dłuższego już czasu twarz jego obmacuje skryte, napięte i nieufne spojrzenie dwojga czujnych i pełnych pogardy, a zarazem poczucia wyższości oczu

10.

Porucznik Lenoch chciał już nie patrzyć ale patrzyć musiał. Coś go fascynowało w skulonej, nieruchomej postaci sanitariusza. Usiłował sobie tłumaczyć, że interesuje go jakiś buddyjski, kamienny spokój skośnookiego diabła. Porównywał go z posążkiem, jaki mu w Tokio ofiarował pewien japoński oficer, wplątany zresztą w chabarowską aferę. Tylko, że posążek przedstawiał półnagiego grubasa z brzuchem jak bęben i obleśnie uśmiechniętymi wśród workowatych policzków ustami. A ten był smukły, spowinięty bielą szpitalnego fartucha, z ustami zaciśniętymi w wąskie pasemko fioletowo-czerwonej barwy.

Nie skojarzenie było zbyt luźne. Chodziło tylko o ten spokój postaci. Nie i to nie. Tamten posążkowy grubas miał przynajmniej coś ludzkiego w twarzy. Można było od biedy wyobrazić go sobie z cygarem w zębach. Przypominałby nawet trochę Churchilla. W tym chudzielcu nie ma nic z człowieka. Już pół godziny siedzi tak z podciągniętymi pod brodę kolanami i ani drgnie. Do szału może doprowadzić.

Lenoch odchylił w bok głowę lecz znów wracał spojrzeniem ku nieruchomej twarzy. Gniewała go coraz bardziej. Och gdyby nie to że musi się powstrzymywać, że mają go w łapach, wyrżnąłby pięścią w tę kamienną maskę. Zobaczyłoby się wtedy co jest pod tym spokojem.

„Nic, po prostu nic. Takie coś na pewno nie myśli. Ot, kazali mu, to siedzi. Każą strzelać, to będzie strzelać. Każą rżnąć, to będzie rżnął". Lenoch poczuł się nagle lepiej ze swoimi myślami. „Takie coś nie ma chyba duszy. Przecież gdyby coś czuł, myślał, przeżywał, byłoby widać. A tu nic. Jak z kołka wyciosał".

Znowu odchylił głowę i po chwili znów powrócił spojrzeniem ku Koreańczykowi. Ten nie drgnął nawet, gdy do izby wsunął się bezszelestnie przygryzając wargę czarnymi zębami Sek-tin-wo. Zawahał się zobaczywszy Pen-hu, lecz nie odszedł. Stanął w nogach przy łóżku Lenocha.

Lenocha rozbolały już oczy. Chciał wypatrzeć chociaż lekkie drgnienie powiek u tamtego. Nic. „Bydle. Po prostu bydle. Tu ludzie walczą, cierpią, giną, dostają się do niewoli, a ten nic. Jednak Ashfork dobrze zna ten naród. Bydło".

Chciał po raz któryś z rzędu oderwać wzrok od nienawistnego spokoju zesztywniałych rysów młodego sanitariusza, gdy nagle rozszerzył mu je obłędny strach. Rzucił głową w tył, sprężył się całym ciałem, nie czując bólu rozdrażnionej nogi. Dopiero po chwili wydobył z siebie zduszony, jakby chichotliwy krzyk. Przyczajony w nogach łóżka Sek-tin-wo spojrzał w kierunku jego wzroku.

Pen-hu nagłym zwarciem dłoni złamał trzymany w ręku wachlarz. Powoli wyprostował nogi. Wstał. Wolnym krokiem zbliżał się ku ciągle w głębokim śnie leżącemu Kertonowi. Nad głową niósł podniesiony wysoko ciężki taboret. W oczach migotał żółty jak u kota blask.

Sen-tin-wo nagłym, szczupakowatym rzutem podciął mu nogi. Runęli obydwaj na ziemię. Z sąsiedniej sali wpadł — zwabiony rumorem siwy lekarz i Wu-czen. Pen-hu jakby w jednej chwili otrzeźwiał. Podniósł się bez słowa, pomógł wstać tamtemu. Postawił taboret na dawnym miejscu. Gdy siwy lekarz, ten sam, którego Lenoch zapamiętał z pokoiku pachnącego apteką, zapytał o coś Sek-tin-wo, a potem zwrócił się z kilkoma słowami do młodego sanitariusza — wyszedł z nim, pochylając głowę we framudze niskich drzwi. Twarz miał znowu spokojną.

Lenoch odetchnął. Przez chwilę czuł blisko śmierć. Kerton nawet się nie domyślał, co wisiało nad jego głową. Nawet hałas krótkiej szamotaniny nie wytrącił go ze snu. Nie uwierzy pewnie, jak potem mu opowie o wszystkim. Ale też on sam by nie uwierzył, że ten staruch o robaczywych zębach jeszcze taki gibki w sobie. Podobno oni to mają dzięki długoletnim ćwiczeniom w jiu-jitsu. Spojrzał w skośne oczy ocierającego pot z czoła sanitariusza.

Szczerzył zęby w przymilnym uśmiechu, jakby czekał pochwały.

— No, dobrze się spisałeś, old-boy. Policzy ci się to w Kunsanie i Tokio.

Tamten załopotał trwożliwie rękami pokazując ostrzegawczo na ścianę i okno. Lenoch ściszył głos.

— Udało ci się. Nie ma co. Ale ten chudzielec to typ! Co go nagle ukąsiło? Siedział jak kołek — i masz...

Sek-tin-wo odpowiadał łamaną angielszczyzną (kiepskie były te kursy prowadzone przez szczeniaka z „Tehanu", gdyby nie poprzednia służba w specjalnym wydziale w Tokio, nic by dziś nie umiał).

— Sir, mieliśmy obaj szczęście. Na pewno byśmy byli źle, gdyby wiedział, że już po wszystkim. Jego dziewczyna umarła. Właśnie przywieźli tę wiadomość z Sen-ku-faj. Miała twarz — całkiem na nic. Nie wytrzymała. Gdyby Pen-hu wiedział — nie wiem jak by było z nami. Mieli się żenić. Chłopak młody. Myśli, że to koniec świata. No, wtedy i dziesięciu takich jak ja mogłoby mu się walić pod nogi. A siłę ma jak wół.

Lenoch nagle się zaniepokoił. Stanął mu przed oczyma tłum napierający pod dąb z motykami w ręku. I krzyk tego drańskiego sierżanta który powstrzymał napierającą falę. Szukał czegoś w pamięci. Znalazł.

— Co znaczy słowo „Sorion"?

Żółty zatrzepotał ze zdziwienia opadłą powieką.

— Sorion? A po co to wiedzieć?

— Jeśli pytam, to widocznie jest po co. Twoją rzeczą odpowiadać, nie pytać. Zapominasz po co cię tu przysłali...

Sek-tin-wo znów zatrzepotał trwożliwie rękami wskazując drzwi. Odpowiedział szybko, jakby wypluwając z ust nieświeży bób.

— Sorion — to Związek Radziecki.

Lenoch o więcej nie pytał. Wcisnął się głębiej w poduszkę i przymknął oczy. Poczuł się nagle bezradny wobec samego siebie. Za wielu rzeczy nie rozumie. Za wiele rzeczy wali na niego ze wszystkich stron. Cholerny świat! Jedyny człowiek, w którym znalazł siłę — to szpieg — Mac Gleen — zdradził. Przypomni mu się kiedyś w F.B.I. ten Sorion. Kerto nieprzytomny. Ileż bym dał — myśli żałośnie Lenoch — aby siedzieć teraz przy radiu w swoim przytulnym home i nic nie wiedzieć o tym wszystkim co jest tuż obok mnie, na około mnie, a może już i we mnie. Jak dawno opuścił choćby ten pokój jasny kunsańskiej kantyny. Aż wierzyć się nie chce, że od tamtych chwil jeszcze nie minęła doba.

Rozejrzał się po szpitalnej izdebce. Odwracając głowę ku oknu zapadł w smutek, z którego nie umiał się wydobyć.

Za oknem świat nasiąkał mrokiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

Odzyskane szczęście

PREMIERA ostatniego filmu Pudowkina odbyła się w Polsce już po śmierci tego wielkiego artysty, pedagoga, teoretyka, działacza społecznego, człowieka, który do ostatniej chwili swego życia nie przestawał walczyć o doskonałość swych dzieł, nie zaprzestawał twórczych poszukiwań. „W twórczej biografii Pudowkina, tak jak w zwierciadle odbija się cała historia radzieckiej kinematografii z jej wielkimi zwycięstwami i nielicznymi niepowodzeniami. Prace Pudowkina są potwierdzeniem jeszcze jednej bezspornej prawdy: artysta odnosi zwycięstwo wtedy, kiedy wszystkie środki swego mistrzostwa poświęca rozwiązaniu wielkich i ważnych tematów rzeczywistości, kiedy rozwiązuje te tematy głęboko, prawdziwie i jasno, z pozycji przodującego światopoglądu, kiedy występuje jako artysta, bojownik, obywatel i patriota" — pisze we wspomnieniu o wielkim reżyserze jego przyjaciel Grzegorz Aleksandrow. Świadczy o tym cały dorobek Pudowkina — artysty rozpoczynając od pierwszych prób u Gardina, poprzez praktykę u Kuleszowa, poprzez genialną niemą trylogię „Matka — Koniec St. Petersburga — Burza nad Azją", gdzie wraz z innymi magami X muzy kładł podwaliny sztuki filmowej, świadczą o tym dźwiękowe eksperymenty w „Dezerterze", próby eposu historycznego „Minin i Pożarski — Suworow — Admirał Nachimow", doświadczenia ze „Zwycięzcą przestworzy", aż po ostatnie „Odzyskane szczęście".

Próby te nie zawsze były udane. Obok wybitnych sukcesów trafiały się niepowodzenia, błędy osłabiały nieraz wartość osiągnięć eksperymentalnych. Ale bezsporny jest fakt, że motorem tych poczynań była chęć stworzenia czegoś nowego, znalezienia środków, które jeszcze pełniej wyraziłyby idee, którym Pudowkin poświęcił życie.

Z punktu widzenia historycznego oczywisty jest dziś fakt, że lata 1926—1930 w ciągu których powstała jego klasyczna niema trylogia były okresem największego rozkwitu talentu Pudowkina i krystalizacji procesu twórczego. Podobnie jak Chaplin, Pudowkin pozostał mistrzem niemego okresu sztuki filmowej i w dziełach tych zawarł swój nowatorski dorobek, one też wyznaczają mu miejsce klasyka filmu.

Późniejsze lata poszukiwań w okresie dźwięku uwieńczył w zasadzie „Suworow" — ale nie był to już film nowatorski. Był to bardzo dobry film historyczny, dzieło pełne prostoty i patriotyzmu, ale które w zakresie środków wyrazowych nie wnosiło nic nowego.

Lata powojenne Pudowkina wypełnia w zasadzie działalność pedagogiczna i społeczno - polityczna. Zasadniczym osiągnięciem tego okresu jest „Odzyskane szczęście", również eksperyment, ale już w dużej mierze udany. Udany dzięki śmiałości w postawieniu problematyki ideowej, jak i znalezieniu dla niej właściwego tonu, równie żarliwego jak w okresie stworzenia „Matki", gdyż zarówno w tym ostatnim jak i pierwszym dziele, chodziło Pudowkinowi o prostego człowieka, ukazanego w całej krasie.

Wiemy, że w ostatnich latach zdarzały się radzieckie filmy, które gubiły nieraz ludzi na rzecz problemów. Dobrze wiedział o tym i Pudowkin. W okresie pracy nad „Odzyskanym szczęściem" tak pisał: „Przywykliśmy w scenariuszach do ludzi, którzy — jeśli nawet posiadali jakieś osobiste życie — to zwykle niczym się nie wybijające ponad przeciętność. Chociaż zdarzenia o charakterze osobistym pokazywane były w filmach takich sumiennie, to jednak specjalnego zainteresowania nie budziły. Powieść Nikołajewej wyróżnia się tym, że jej bohaterowie znajdują się w sytuacji bardzo rzadko się zdarzającej... Jeśli mnie, artyście dane jest prawo wyboru, to chcę pokazać człowieka nie w takich warunkach, w których może on zapanować nad sobą, ale właśnie w takich chwilach życia, które dają możność obnażyć wewnętrzne warstwy jego osobowości".

Ta niebanalna historia „trójkąta" małżeńskiego jest śmiałą próbą ukazania głębokiego, wewnętrznego dramatu człowieka. Bohaterowie „Odzyskanego szczęścia" to ludzie, którzy nie tylko pracują, ale mają rodzinę, własne indywidualne zainteresowania, wewnętrzne troski związane nie tylko z zagadnieniami produkcyjnymi, ale także ze sprawami jak najbardziej intymnymi — sferą uczuć miłosnych. Pudowkin nie uprościł tego konfliktu, nie rozdarł sztucznie swych bohaterów, aby ukazać ich z jednej strony przy pracy, a z drugiej — w rodzinie. Dramat miłosny bohaterów ma głębokie konsekwencje społeczne, ich prywatne dzieje w znacznym stopniu wpływają na losy kołchozu.

Położenie akcentu na tych sprawach było nowością tego filmu, było nowatorstwem we współczesnym filmie radzieckim. Pudowkin w dużym stopniu odciął się od deklaratywności, w sposób prosty i wzruszający mówił o swoich bohaterach. Oczywiście „Odzyskane szczęście" nie było filmem bezbłędnym. Te nowe akcenty zostały nie dość równomiernie i harmonijnie wprowadzone do całego filmu, nie wszędzie osiągnęły zamierzony cel. W scenach, gdzie dochodzi do głosu dramat osobisty bohaterów, film jest doskonały, natomiast jego wymowa słabnie, gdy sprawy osobiste rzutowane są na ogólne, kołchozowe tło. Niedostatecznie powiązały się z całością filmu wątki poświęcone stacji traktorowej — i to w dużej mierze zaważyło na chwiejności szkieletu dramatycznego.

Oceniając jednak w całości „Odzyskane szczęście" nie wolno zapominać, że mimo swych błędów, błędów właściwych eksperymentowi, jest to film, który toruje drogę tematyce codziennej, tak pożądanej przez widza. Pudowkin pokazał ostatnim swoim dziełem, iż można pięknie i realistycznie mówić o sprawach, które puszczone na łup burżuazyjnej kinematografii stały się banalne i wulgarne, że możemy — i to ważne, że pokazał, jak możemy — mówić o nowej socjalistycznej moralności w sposób ciekawy i interesujący. Ale pod warunkiem, że z dzieła tego wyciągniemy naukę rozpoczętą przez wielkiego mistrza.

KSIĄŻKI: recenzje omówienia

JAN RUTKOWSKI, **Historia gospodarcza Polski (do 1864 r.).** Książka i Wiedza, 1953, str. XII + 568.

DZIEŁO Rutkowskiego niewątpliwie wypełnia poważną lukę, jaka istniała dotychczas na odcinku wydawniczym w zakresie badań historyczno-gospodarczych dawnej Polski, tj. od początków naszej państwowości aż po czasy wielkich reform włościańskich, rozpoczynających się mniej więcej od pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej i trwających aż do lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Autor rozpoczyna analizę stosunków gospodarczych od zarania dziejów Polski: od organizacji rodowej. Omawiając ten okres głosi pogląd, wbrew opinii wielu niemieckich historyków, o starożytności i rodzimości kultury rolnej w Polsce. To przypuszczenie opiera na brzmieniu terminologii rolniczej, a więc nazw zbóż oraz wielu narzędzi rolniczych, które są rodzimego pochodzenia. O dość znacznym rozwoju wytwórczości wśród polskich Słowian świadczy również — zdaniem autora — istnienie już w VII w. takich gałęzi produkcji, jak garbarstwo, szewstwo i tkactwo. Pisząc o problemie własności w tym okresie Rutkowski stwierdza, że powstanie związków tzw. opolnych, oraz istnienie niewolnictwa, jak również wzmagający się proces indywidualizacji własności powodował rozkład organizacji rodowej. Wraz z pojawieniem się państwa feudalnego następuje zjawisko stopniowego rozwarstwienia wsi, jakkolwiek jeszcze w XII i w początkach XIII w. nie istniały zasadnicze różnice między włościanami a rycerzami, nie wytworzył się bowiem jeszcze, poza nielicznymi stosunkowo drużynami książęcymi, jednolity stan szlachecki. Jednakże już w drugiej połowie XIII w. zaczęła powstawać wielka własność ziemska. Polska w tym okresie — jak mówi Rutkowski — **„była krajem drobnej uprawy w obrębie powstającej wielkiej własności".**

Badając stosunki średniowieczne prof. Rutkowski dochodzi do ciekawego wniosku, dotyczącego wpływu kolonizacji niemieckiej na stosunki wiejskie. Stwierdza on mianowicie, że mylny był pogląd utrzymujący, iż prawo niemieckie przyniosło ludności wolność osobistą, wolność ta bowiem istniała już przedtem.

Wraz z rozwojem handlu w epoce Odrodzenia, zwłaszcza w związku z wielkimi możliwościami eksportu zboża (w 1392 r. do Gdańska przypłynęło 300 statków angielskich i holenderskich z ofertami na zakup zboża) — nastąpił w rolnictwie polskim, w szczególności w XVI w., zasadniczy przełom; zniknęły niemal zupełnie gospodarstwa kmiece, a na ich miejsce pojawiły się folwarki szlacheckie. Od tego czasu rozpoczął się na większą skalę proces przywierdzania chłopów do gleby, przy równoczesnym wzroście uprawnień jurysdykcji patrymonialnej, co równało się w praktyce zupełnej zależności chłopa od pana.

Rozwój przemysłu i handlu, który dość silnie zaznaczył się w XVI w. — został zahamowany w czasie wojen XVII w. i trwał w tym stanie niemal aż do ostatnich dni Rzeczypospolitej. W tym też czasie następuje częściowe oczynszowanie wsi, przede wszystkim w ekonomiach królewskich. Zamiast bowiem — jak stwierdza autor — inwestować w odbudowę folwarków znaczne środki pieniężne, wolano się zadowolić dochodami z czynszów. Jednakże już w następnych latach oczynszowanie zostało bardzo znacznie ograniczone, feudalizm agrarny, a właściwie proces refeudalizacji doszedł w końcu XVII w. do największego rozkwitu. W XVIII w. własność szlachecka przeważała mniej więcej dwukrotnie nad własnością publiczną. **„Z ogółu włościan wypadało na ekonomie królewskie 3 proc., na pozostałe królewszczyzny 16 proc. na dobra kościelne 17 proc., a na dobra szlacheckie 64 proc."** — pisze Rutkowski. Ta struktura pańszczyźniana w rolnictwie wstrzymała — niezależnie od innych przyczyn — rozwój życia gospodarczego Polski, właściwie aż do czasów Królestwa Kongresowego. Co prawda za panowania Stanisława Augusta czyniono próby uprzemysłowienia kraju. Nie powiodły się one jednak (np. manufaktury Tyzenhausa) głównie z powodu ugruntowania pańszczyzny oraz braku najemnej siły roboczej, na co zresztą nie zwraca Rutkowski szczególnej uwagi. Dalszą przyczyną zacofania gospodarczego kraju była stosowana przez państwa zaborcze, w szczególności przez Prusy, polityka celna, która hamowała szybszy rozwój ekonomiczny Polski.

Książka kończy się rozdziałem stanowiącym niemal trzecią jej część, pt. „Epoka wielkich reform włościańskich (1772 — 1870)". W rozdziale tym autor porusza zagadnienie dokonujących się przemian agrarnych w trzech zaborach, jak również — zagadnienia handlu, przemysłu i skarbowości.

Omawiana książka jest poszerzonym wydaniem opublikowanego w 1928 r. „Zarysu gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych". Należy stwierdzić, że autor będąc w zasadzie przeciwnikiem intuicjonizmu, formalizmu techniczno-metodycznego, antykwaryzmu i innych cech nauki burżuazyjnej — nie zawsze jednak potrafił odbiec od tej nauki, zwłaszcza, gdy chodziło o różnice ekonomiczno-społeczne między układem feudalnym a kapitalistycznym... Rutkowski — jak stwierdza prof. dr Kula, który opracował wstęp do omawianej książki — **nie doceniał roli i znaczenia formacji społeczno-ekonomicznej... w strukturze jego dzieła przełom między kapitalizmem, a feudalizmem nie zaznacza się silniej niż szereg innych przełomów w łonie epoki feudalnej".** Poza tym Rutkowski statycznie ujmował zjawiska społeczno-gospodarcze, badał je jak gdyby w izolacji, oddzielał je od człowieka walczącego i działającego w ramach poszczególnych instytucji społeczno-prawnych, nie potrafił dostrzec znaczenia walki klas jako głównego motoru przemian. Jednakże wartość jego dzieła jest ogromna. Polega ona nie tylko na tym, że stanowi właściwie pierwsze, systematyczne ujęcie całości dziejów gospodarczych Polski, ale przede wszystkim na niezwykle wartościowym materiale historycznym, do którego zebrania posłużyła m. in. bibliografia i licząca ponad półtora tysiąca pozycji.

Zdzisław Umiński

„Mizantrop" w Teatrze Kameralnym

Rys. B. Jonscher

OBSERWUJĄC pierwsze sceny warszawskiego przedstawienia *Mizantropa*, zastanawiałem się nad dystansem, jaki nas, widzów z połowy dwudziestego wieku, dzieli od Moliera, ściślej — od siedemnastego wieku oglądanego na scenie. Jest bowiem rzeczą bezsporną, że wiek następny, nawet już czasy Regencji, Oświecenie nam o wiele bliższe. Łatwiej dostrzeżemy człowieka pod fraczkiem pastelowej barwy, niż pod papuzim strojem modnisiów z epoki Ludwika XIV. Oddalają ich od nas olbrzymie peruki i fatałaszki dyndające się przy pantalonach, oddala nadmiar wstęg, pióropuszów, nadmiar jaskrawych kolorów. Niesposób przejść obok tego obojętnie, jak przechodzi się do porządku dziennego nad lekkimi kostiumami z osiemnastego wieku, których prawie nie dostrzegamy, jeśli tylko naprawdę pasują do charakteru sztuki. Dzieje się tak w schillerowskiej *Intrydze i miłości*, u naszego Zabłockiego, a nawet — nawet i u Goldoniego. Komedie Moliera są dla nas — sensu strictiori — komediami kostiumowymi.

Ów kostiumowy dystans realizatorzy przedstawień starają się przełamywać na różne sposoby. Najczęściej spotykana farsa (także niestety i w Warszawie — wspomnijmy tu przykładowo choćby *Szelmostwa Skapena* sprzed kilku lat) nie daje przy Molierze dobrych rezultatów, przekonaliśmy się o tym aż nadto dobrze. Już od pierwszego dialogu Alcesta z Filintem wiedzieliśmy, że Teatr Kameralny nie tą poszedł drogą. Warnecki grał Mizantropa ze skupieniem, nie nadużywając gestu, starał się ześrodkować uwagę widza na wnętrzu bohatera. Traktował Alcesta poważnie, przejmował się jego racjami nie gubiąc bynajmniej humoru, jaki tkwi w tej postaci zgryźliwca, postaci nota bene na tle innych bohaterów komedii zdecydowanie pozytywnej. Lecz niewątpliwie Alcest jest bardziej złożony, niżby chciał go widzieć Henryk Vogler w swoim artykule zamieszczonym w obszernym programie przedstawienia. Oczywiście, „żółciowy kochanek" jest bez wątpienia pozytywnym przeciwstawieniem występujących w sztuce postaci — nie trzeba jednak zapominać, że jest to postać także bez wątpienia komediowa. Życiorys Moliera wskazuje, że zawarł on w niej wiele elementów autobiograficznych, warto jednak przypomnieć zarówno o tytule komedii, w którym autor nie bez ukrytej wprawdzie ironii zajmuje stanowisko wobec bezkompromisowej postawy Alcesta, jak i o tekście, który tego niewątpliwie do głębi uczciwego człowieka traktuje — chwilami — z rezerwą.

Wydaje się, że reżyserska — i aktorska — koncepcja Warneckiego wydobyła ową powagę, z jaką autor podszedł do osoby Alcesta, jak też i owe tak ważne jednak momenty, kiedy do głosu dochodzi właśnie owa rezerwa, przez co postać nabrała wielowymiarowości i pełni życia, a Alcest nie był ani rezonerem, ani też jego przeciwieństwem —forsowym półgłówkiem. Znakomite artystycznie zakończenie komedii, słowa Alcesta:

Będę szukał odległej na świecie ustroni,
Gdzie uczciwym człowiekiem nikt mi być nie wzbroni

wypowiedziane w sposób przejmujący, podkreśliły ów ton gorzkiej, główny ton tej komedii, ściśle związany z pojawiającą się na scenie postacią bohatera tytułowego.

Salon Celimeny kontrastuje z postawą Alcesta i przeciwieństwo to wydobyto. Przeciwieństwo nie tylko moralne — a więc świat pełny próżności, pochlebstw, obłudnictw i oszustw — ale także (i tutaj mieści się właśnie owa molierowska rezerwa) świat wesoły, pełny temperamentu, życia, któremu przeciwstawiony jest mizantrop. Realizacja sztuki świetnie to pokazała. Janina Romanówna w roli Celimeny stworzyła prawdziwą, żywą postać. Inny wariant „sprytnej wdówki", „pocieszna wykwintnisia" nie pozbawiona dużej inteligencji, przyciśnięta w końcu do muru i wychodząca na swoim sprycie dużo gorzej od Rozaury Goldoniego, która wszystkich amantów wystrychnęła na dudków. Romanówna błyszczała przed kilku laty w roli Rozaury, Celimena jednak daje więcej możliwości aktorskich, zawiera bowiem więcej ludzkiej prawdy. Możliwości te artystka umiejętnie wyzyskała. Poczwórna gra, jaką prowadzi, intrygi, obmowy, scena z pluczem wreszcie, jaką urządza Alcestowi, gdy ten z dowodem w ręku wyrzuca jej niewierność, zagrana była po mistrzowsku, z wydziękiem stylu komedii molierowskiej. Podziwiać należy artystkę, która gra równocześnie tak znakomicie wielką panią renesansową — królową Bonę w sztuce Morstina.

Celimena króluje w swym salonie, który widz spektaklu Teatru Kameralnego poznaje — stopniowo — ze wszystkich stron. Można to rozumieć dwojako — w zastosowaniu do działających osób (przede wszystkim zaś właścicielki owego salonu) — które w akcie ostatnim, zdemaskowane, ukazują się takimi, jakim są naprawdę; można rozumieć i dosłownie, gdyż pseudoklasyczna jedność miejsca stała się dla scenografa przedstawienia, Otto Axera, podstawą do oryginalnego zabiegu: oto w każdym akcie te same dekoracje ulegają pewnemu przesunięciu, zmienia się układ ciężkich siedemnastowiecznych kolumn, porągów, mebli, układ drzwi i okien, przesuwa się punkt, z którego oczy odbiorcy obserwują miejsce akcji i defilujących tu zalotników Celimeny. Obawiamy się jednak, że nie dorównywali oni Alcestowi i Celimenie — ich prawda wewnętrzna i ich rzeczywista śmieszność przesłonięte były — jak u Żabczyńskiego — krygowaniem się i mimiką, niezbyt oszczędną. Oront Żabczyńskiego był niemal Kalbem z *Intrygi i miłości*, nie uchwycił tu artysta tego, co zadziwiało w grze Romanówny — odrębności epoki i odrębności środków artystycznych, jakimi tworzy się postacie odległe od siebie o stulecie. Odwagę, męstwo przyznaję temu nieudałemu muz ulubieńcowi i Alcest nawet — Oront Żabczyńskiego jest zaś rodzonym bratem tchórza von Kalba.

Mieczysława Ćwiklińska jako dewotka Arsena przypominała swą niedawną rolę molierowską w *Uczonych białogłowach*, wydobywając z bogatego arsenału swoich możliwości komediowych środki niezawodne. Sucha rola Elianty niezbyt chyba pasuje do indywidualności Ewy Krasnodębskiej. Skupienie, walka wewnętrzna, powaga i cierpienie — oto, czym przekonywała zarówno jako niezapomniana Luiza w *Intrydze i miłości*, jak i ostatnio w roli Diany (*Sprawiedliwi ludzie* Brandysa). Trudno tu winić artystkę — ale może lepiej nie przemilczać tego faktu. Przyznam się, że osobiście wolałbym widywać ją w komediach jak najrzadziej.

Antoni Różycki jako Filint był znakomitym partnerem Warneckiego, pomagając mu w jego interpretacji roli Alcesta. Typ realisty poczciwego, ale i trzeźwo patrzącego na rzeczywistość, a więc w końcu znajdującego się w przeciwnym obozie niż Don Kichot prawdomówności, w obozie, od którego tamten ucieka. Ale trafnie podkreśla jednak Vogler, że chyba świadomie Molier kończy sztukę słowami wypowiedzianymi przez Filinta jako replikę na zapowiedź Mizantropa, że zamknie się w ustroni:

Śpieszmy razem, nie szczędźmy gorącej namowy,
By zmienić w jego sercu zamiar tak surowy.

„Mamy pewne powody do przypuszczenia — pisze Vogler — *że Alcest w końcu ulegnie".* Jeszcze jeden dowód na to, że psychika Alcesta nie jest w swej bojowości tak prosta — przypomnijmy sobie, ile to razy miłość zmieniała jego postanowienia.

Mizantrop w Teatrze Kameralnym jest przedstawieniem udanym. Dystans, jaki dzieli nas od molierowskich ludzi — tak bardzo odległych — znika, problematyka sztuki potrafi nas wzruszyć, w końcu przekonać artystycznie. Byłoby dobrze, żeby przedstawienie to wskazało kierunek ujęć — ciągle przecież wznawianych — sztuk molierowskich, których nie potrzeba dobarwiać farsą, dość dużo bowiem zawierają one w sobie rzeczywistych pierwiastków komediowych.

Wiesław Kwiatkowski

Janina Romanówna — Celimena, Mieczysława Ćwiklińska — Arsena, Janusz Warnecki — Alcest w „Mizantropie" w Teatrze Kameralnym.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Miodowa 23. Zam. 772 5-B-150040

KONRAD EBERHARDT

O SZTUCE GWAŁTOWNEJ I BARWNEJ

*„Publiczność w swojej masie nie ma obowiązku „oczekiwania" na malarstwo, ani dostrajania się do niego na specjalnych kursach sztuki abstrakcyjnej; publiczność nie potrzebuje tzw. form „czystych", czy jakich innych — potrzebuje przede wszystkim „poezji" — idei jasnych i nowych, to znaczy głębszych i silniejszych niż te, które dotąd posiadała, zdolnych otworzyć jej oczy na prawdę..." *) To zdanie Renato Guttuso powróciło do mnie gdy zwiedzałem w Warszawie wystawę prac tego znakomitego plastyka włoskiego. Jego pogląd wyrażony powyżej u niektórych może wywołać głębokie zdumienie. Jak to, ten szermierz surowego realizmu, artysta świadomy swej politycznej pozycji, malarz nie wahający się dotknąć tematów najbardziej bolesnych — żąda wielkiej poezji malarskiej, a więc czegoś, co zazwyczaj uważane jest za luksusowy naddatek, ozdobnik istotnych treści, wytchnienie po zmaganiach decydujących dla oblicza sztuki czy kultury w ogóle? Czyż nie jest to po prostu nieporozumienie?*

Jednak przeciętny nawet odbiorca odbiorca sztuki, który po obejrzeniu arcydzieła filmowego De Santisa „Rzym, godzina 11", a mając w pamięci „Złodziei rowerów", czy „Cud w Mediolanie" uda się na wystawę prac Renato Guttuso — wyczuje jakąś więź łączącą te odmienne rodzajowo zjawiska twórcze. Może odnajdzie wspólną cechę właśnie w tej „poetyckości", w podnoszeniu konkretów, scen zwykłych, wydarzeń codziennych do rangi symbolów, w tej tendencji do wielkich przenośni, jakie potrafią odkrywać współcześni realiści włoscy w kręgu otaczającej ich rzeczywistości. Metoda przedstawiania zjawisk opiera się mocno o ideologię artystów, o ich zaangażowanie w walkę polityczną po stronie proletariatu włoskiego, ale w rękach De Santisa, De Sici czy Guttuso — z zerwanych schodów, z ukradzionego roweru, z rozgromionej manifestacji w Portella dela Ginestra — tworzą się wielkie ludzkie sprawy, dorastające do rangi paraboli ponadindywidualnych.

Jakiż sens ma bowiem fragmentaryczne „odbijanie" rzeczywistości na płótnach, jak w lustrze? Czy opłaca się wysiłek artystów cierpliwie portretujących tzw. typy ludzkie i akty ciała, domy, drzewa, kwiaty, martwe natury nie wybiegając nigdy myślą do ukrytych ogniw łączących te zjawiska, wtrącających je w mknący nurt życia? Młoda szkoła realizmu włoskiego reprezentowana przez Guttuso, Treccani, Zigaino jest właśnie buntem przeciwko mieszczańskim szkołom naturalizmu, weryzmu, „realizmu" zwężonego do scenek rodzajowych. Twórczość ich, a szczególnie najbardziej gwałtownego Renato Guttuso trzeba jednak oceniać i widzieć na tle dzisiejszego oblicza plastyki włoskiej.

Byłoby z pewnością trudno zorientować się w wyrazie tego oblicza, gdyby nie wspaniały pomysł, na jaki wpadł redaktor popularnego dziennika florenckiego „Il nuovo corriere" Bilenchi rozpisując wielką ankietę na temat „blasków i cieni" współczesnej plastyki włoskiej. Nadesłano setki wypowiedzi, drukowanie ich trwało blisko pół roku, jak zwykle wśród głosów białych znalazły się i bardzo cenne. W każdym razie można już ustalić pewne „grupy", czy generacje tworzące na terenie półwyspu apenińskiego. Liczne ugrupowanie malarzy abstrakcjonistów, kubistów itd. spod znaku Mondriana uzależnione bezpośrednio od wystaw paryskich nie posiada zbyt oryginalnego programu i osiągnięć własnych.

Natomiast ciekawa jest postawa zasłużonych malarzy starszego pokolenia, których twórczość niegdyś była „rewolucyjną", piastujących dzisiaj katedry w Akademiach i stanowiska w stowarzyszeniach — artyści ci niegdyś przeszli przez burze i pokusy prądów francuskich, dzisiaj powracają do „umiarkowanego" realizmu, malują spokojne pejzaże, martwe natury i akty. Przyklaskują oni jednak działalności młodych. Do nich należy Mario Mafai, twórca tzw. szkoły rzymskiej, który występuje ostro o uniezależnienie się od wymagań pozbawionego gustu odbiorcy — „tłustego burżuja" (il borghiese grasso), jak też Carlo Carra, redaktor niezliczonej ilości czasopism plastycznych wołający o powrót sztuki do życia. Potępia abstrakcjonizm i błogosławi świt nowej epoki realizmu włoskiego leciwy już prymitywista Massimo Campigli. Podobnie zachęca młodych do działania Marino Mazzacurati, dawny twórca postępowego ugrupowania „Fronte", z którego wyłoniło się po latach radykalne „Corrente" założone przez Guttuso i innych; o moralność i ideały sztuki zabiega znany za granicą Roberto Melli i Italo Cremona. Są i młodzi „niezaangażowani", zbliżający się do tendencji postępowych, ale ich pozycja klasowa chroni od „szaleństw", do nich należy Sergio Romiti, Romeo Mancini, wymieniając bardziej znanych. Nie stawiają oni malarstwu wielkich wymagań, pozostają przy komunikatywności i odkrywczości artystycznej.

Najciekawiej jednak przedstawia się młoda grupa realistów zasłużonych w walce z faszyzmem i hitleryzmem na terenie Włoch, a stojących obecnie w większości na pozycjach marksistowskich. Ludzie ci wyszli z mediolańskiej grupy „Corrente", utworzonej przed ostatnią wojną, a obecnie skupili się przy piśmie „Realismo". Są to sylwetki niezmiernie interesujące — Armando Pizzinato, obdarzony dużą ostrością widzenia i pasją koloru, Aldo Borgonzoni, który wniknął w świat robotniczy będąc przez 10 lat pracownikiem fizycznym; oszczędny aż do przesady w środkach malarskich Ernesto Treccani, a przede wszystkim Renato Guttuso. Artyści ci dostrzegli że ładne skądinąd pejzaże ożywiają jednak jacyś ludzie i że prawdziwy artysta nie może minąć „tragedii włoskiej", dramatu milionów pozbawionych pracy ludzi. Zrozumieli również, że dziwnie deprecjonuje samą sztukę fakt, że artyści malują barwne układanki z klocków w okresie, gdy gęstnieje mrok faszyzmu, gdy dymią kominy krematoriów, gdy miliony ludzi padają ofiarą nonsensownego ustroju gospodarczego.

Renato Guttuso przeszedł również przez wpływy kubizmu i formalnej abstrakcji, ale w okresie dojrzałym pozostawił w swojej sztuce tylko to z tych prądów, co pozwoliło wzbogacić środki wyrazu, nie zacierając pełni wyrażanych humanistycznych treści. Świadomy ideowo realista nie pragnie wyrywać się z nurtu europejskich tradycji malarskich, wie bowiem doskonale, że nie jest jego celem anachroniczna, banalna forma i że dzieła takiego nie ocali nawet „najmocniejszy" temat. I dlatego wielka kompozycja Guttuso „Bitwa o most admiralski" zamyka w sobie zarówno dynamizm leonardowskiej „Bitwy pod Anghiari" jak i „Guernici" Picassa. Jeżeli powstała przed ostatnią wojną grupa „Corrente" stanowiła protest przeciwko kierunkom abstrakcyjnym, bezwładnym wobec narastającej grozy faszyzmu — to nawiązywała równocześnie do wielkich tradycji ekspresjonizmu — w ich twórczości bowiem jest coś z odkrywczej pasji Van Gogha.

Oglądając obrazy Guttusa wystawione w warszawskiej „Zachęcie" szukałem dla nich wspólnego mianownika, sekretu ich oddziaływania. Doszedłem do wniosku, że cechą wspólną jest właśnie owa pasja wyrazu, wypełniająca te obrazy kipiącą falą życia. Czy będzie to chłopiec z kopalni siarki, ginący patrioci greccy, czy śpiący bezrobotny — każda z tych scen urzeka ekspresywnością. Być może do osiągnięcia tak wielkiej dynamiki potrzebny jest klimat południowy, ale mimo woli z żalem przypominają się obrazy naszych plastyków-realistów, brudne kolory ich płócien, statyczność scen i nuda. U Guttuso nawet śpiące postacie tchną życiem i wyrazem. Oczywiście i jego sztuka nie nadąża po równej linii: Niektórym postaciom brak głębszego studium twarzy, jak np. w obrazie „Bezrobotni na placu Hiszpańskim w Rzymie". Wystarczy porównać znany obraz „Zajmowania ziemi" z „Bitwą o most admiralski" czy z „Maskarą przy Portella della Ginestra", aby ujawnić słabość tego pierwszego malowidła; pozorny dynamizm, brak zestroju poszczególnych elementów, ludzie jak gdyby upozowani przed obiektywem. Tylko krzyczący chłopiec, wspaniały jako osobny fragment tego obrazu wnosi klimat najwyższych osiągnięć artysty. Czasem grozi malarzowi zbytnia deklaratywność, pokusa plakatu. Wstrząsająca śmierć bohatera wśród śniegów bandaży nie potrzebnie jest wyjaśniana opartym o łóżko czerwonym sztandarem. Ostatecznie wiadomo powszechnie, za jaką sprawę umierają bohaterowie Guttusa. Są to refleksje, które u innych odbiorców być może nie powstaną. Wszyscy odczuwają natomiast, że ten artysta rzeczywiście przeżywa temat, nie lęka się ostrych barw, nie obawia się dramatycznych gestów i krzyku, ale czasem powściągnie swój rozmach, aby stworzyć nastrój głośniejszej od wołania ciszy, w jakiej umierają patrioci greccy, w jakiej dumnie spogląda twarz górnika. O wielkości sztuki decyduje jej odkrywczość. U Guttuso wyspa Capri straciła wychwalany przez wieki łagodny urok, widziany oczami turystów, przeciwnie, ziemia ta najeżona kaktusami wydaje się być surową i niechętną trudom człowieka. Podobnie jak realistyczne filmy włoskie nie ukazują Neapolu od strony lazurowej zatoki.

Dobrze się stało, że wystawa prac Guttusa przejeżdża teraz przez stolice Europy. Włochy odzywają się po raz drugi (po filmie) głosem wielkiej sztuki. Niech plastycy wszystkich krajów zobaczą, czym może być realizm i jak tworzyć wielką poetykę rzeczywistości, gwałtowną i barwną jak życie.

Żony strajkujących górników

*) Risponsa di Renato Guttuso. „Il nuovo corriere" 27.I.1954.

Bohater naszych czasów

Aktualia księgarniane

Mówiło się na tym miejscu o nowych tomach esejów i studiów literackich, może więc nie będzie od rzeczy jeśli dziś zrobi się krótki przegląd ostatnich krytycznych wydań tekstów bardziej lub mniej należących do literatury pięknej.

Z przyzwyczajenia — gdy wspomina się utwory opatrzone dobrym komentarzem — spogląda się najpierw ku tomikom Biblioteki Narodowej. Zakład im. Ossolińskich bodaj uległ widocznej obecnie wśród polskich instytucji wydawniczych „modzie" i na listę „arcydzieł, których znajomość niezbędna jest dla zrozumienia dziejów piękna i myśli ogólnoludzkiej" wciągnął dość sporą w krótkim czasie liczbę pozycji piśmiennictwa starożytnego. W serii więc drugiej pojawił się „Wybór mów" Libaniosa (IV w. po Chr.), obok rozszerzonego wznowienia „Żywotów sławnych mężów" znalazły się „Moralia" Plutarcha, z Liwiuszem sąsiaduje już „Wybór pism" (czemu taki skromny objętościowo?) Tacyta, po dwukrotnie wydanej „Eneidzie" — jest nowy wybór Bukolik i Georgik Wergilego.

Jednym tchem wymieniwszy — pora zawrócić dla udzielenia niezbędnych informacji bibliograficznych. Sporządzona (przekład i opracowanie) przez Leokadię Małunowiczównę pokaźna (364 str. tekstu) książka „małego Demostenesa" — to pierwsze polskie tłumaczenie prawie u nas nieznanego mówcy i znamienitego epistolografa. Wśród udostępnionych pism filozoficzno-moralnych Plutarcha znajdują się m. in.: „Uczta siedmiu mędrców", „Zalecenia małżeńskie", „O gadulstwie", „O duchu opiekuńczym Sokratesa", „O powściąganiu gniewu", „O pogodzie ducha" i VI księga „Zagadnień biesiadnych". Tacyt, oczywiście, w tłumaczeniu i wyborze prof. Seweryna Hammera. Nowe przekłady „Bukolik i Georgik" wyszły spod pióra tłumaczki Plutarchowych „Moraliów" — Zofii Abramowiczówny.

Do kompletu niedawno wyszłych z druku pozycji literatury starożytnej wypadnie dodać dwie edycje PIW'u wydane nie mniej starannie niż tomiki Biblioteki Narodowej. Są to: wznowienie Ajschylosa w przekładach, z przedmowami i komentarzami prof. Stefana Srebrnego oraz bardzo ładna nowość — „Sielanki" Teokryta w tłumaczeniu Artura Sandauera, przez niego też skomentowane.

Przegląd krytyczno-literackich wydawnictw raz jeszcze prowadzić musi przez Ossolineum: warto zwrócić uwagę na dalsze cztery książki Biblioteki Narodowej i nie można nie zauważyć listów Trembeckiego. Oto najpierw owe cztery tomiki: wznowienie „Bajek" Lafontaine'a (pełny polski przekład Stanisława Komara) i „Hernani" Wiktora Hugo w tłumaczeniu Karoliny Wągrowskiej; oba opracowane przez Lidię Łopatyńską. Dwa następne — już wreszcie mowa o serii pierwszej — to potrzebne od kilkudziesięciu lat poprawne wydanie „Satyr" Krzysztofa Opalińskiego przygotowane przez Lesława Eustachowicza (na marginesie: życzyć by sobie należało, żeby ktoś — może właśnie w poznańskiej pracowni polonistycznej, skąd wychodzi najwięcej opracowań dotyczących XVII w. — zatroszczył się wreszcie o wydanie „Przysłów" Andrzeja Maksymiliana Fredry) oraz opracowane przez Stanisława Frybesa „Głowy do pozioty" mającego szczęście do wznowień Jana Lama.

Wydane w Ossolineum listy Stanisława Trembeckiego, dwa tomy pod redakcją Jana Kotta i Romana Kalety, uzupełniają edycję pism wszystkich autora „Sofiówki" (utwory oryginalne i tłumaczone ukazały się przed rokiem w PIW-ie).

Z niedawnych interesujących nowości PIW'u najciekawszą chyba pozycję stanowi „Księga życia i śmierci" — wybór twórczości Ryszarda Berwińskiego dokonany przez Marię Janion i poprzedzony jej ciekawą rozprawą. Tak więc — poeta i działacz wielkopolski, którym żywiej poczęto się interesować dopiero przed ostatnią wojną, doczekał się przypomnienia w sto prawie dziesięć lat od wydania dwu głośnych niegdyś tomików jego wierszy.

KILKA SŁÓW

o filmie

CO UJRZYMY W KWIETNIU NA WARSZAWSKICH EKRANACH?

5 interesujących filmów wejdzie w kwietniu na ekrany stolicy. Miłośnicy sportu z wielkim zainteresowaniem czekają na pasjonujący reportaż filmowy z „meczu stulecia" Węgry — Anglia. Zmontowany on został na Węgrzech ze zdjęć kronik węgierskich, francuskich i angielskich. W nowym polskim filmie „Trudna miłość" zobaczymy walkę o stworzenie spółdzielni produkcyjnej. „Paloma" to tytuł filmu produkcji meksykańskiej, który także obejrzymy w kwietniu.

Film produkcji chińskiej „Na dworze księcia Torki" mówi o walce wyzwoleńczej prowadzonej przez naród mongolski wraz z chińską armią ludową przeciw wojskom Kuomintangu. Ostatni wreszcie film, jaki obejrzymy w kwietniu, jest produkcji angielskiej i przedstawia dzieje Krzysztofa Kolumba.

OTWARCIE FESTIWALU FILMOWEGO W CANNES

W dniu 25 marca rozpoczął się w Cannes VII Międzynarodowy Festiwal Filmowy, w którym bierze udział 36 krajów, m. in. ZSRR, Polska, Czechosłowacja, Węgry. Na tegoroczny Festiwal zgłoszono rekordową liczbę 115 filmów.

Filmy polskie „Piątka z ulicy Barskiej", „Powrót na Stare Miasto" i „Koziołeczek" będą wyświetlane w końcowych dniach festiwalu. Z dużym zainteresowaniem oczekiwane są również nowe filmy radzieckie „Skanderbeg" „Los Maryny", „Mistrzowie baletu rosyjskiego" i rysunkowy „Lot na księżyc".

NOWY FILM FRANCUSKI

Francuski reżyser filmowy Jaques Becker nakręca obecnie film „Ali Baba i 40 rozbójników", którego fabuła oparta jest na „Baśniach z tysiąca i jednej nocy". Scenariusz filmu opracowany został przez znakomitego włoskiego scenarzystę Cesare Zavattini'ego. Główną rolę w filmie „Ali Baba" powierzono popularnemu aktorowi francuskiemu Fernandel'owi.

FESTIWAL WŁOSKICH FILMÓW W ZSRR

Od 16 do 23 marca w Moskwie, Leningradzie, Stalingradzie i innych większych miastach Związku Radzieckiego odbywał się festiwal włoskich filmów. Prasa radziecka poświęca wiele miejsca omówieniu dorobku postępowej kinematografii włoskiej, szczególną uwagę zwracając na dwa nowe filmy „Rzym godzina jedenasta" oraz „Nadziei na dwa grosze". W ramach festiwalu wyświetlane są m. in. „Wróć do Sorento", „Ulubione arie", „Neapol — miasto milionerów", „Nie ma pokoju pod oliwkami", „Pajace", „Pod niebem Sycylii".

SPECJALNE KINO DLA DZIECI „GNOMO"

Doceniając wielkie znaczenie wychowawcze filmu zorganizowano w Mediolanie Ośrodek Studiów, który zajmuje się zagadnieniami kinematografii dziecięcej. Po długim okresie rozważań teoretycznych otwarto kino „Gnomo" przeznaczone specjalnie dla dzieci. Przygotowano odpowiednie programy, na które składają się zarówno filmy rysunkowe jak i popularno-naukowe czy fabularne. Jakkolwiek organizatorzy obawiali się, że dzieci niechętnie chodzić będą do kina specjalnie dla nich przeznaczonego, placówka ta zdobyła sobie wielką sympatię wśród młodocianej publiczności. Już w ciągu pierwszych 60 dni istnienia kina „Gnomo" odwiedziło je 25.000 widzów w wieku 8—14 lat.

o plastyce

1000 LAT SZTUKI NORWESKIEJ

Wystawę pod tym tytułem otwarto ostatnio w Paryżu. Ukazuje ona dorobek artystyczny Norwegii od zarania dziejów tego kraju aż do naszych czasów. Fragmenty bogato rzeźbionych drewnianych okrętów Wikingów — to najstarsze zabytki tej sztuki. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak z chwilą przyjęcia przez Norwegię chrześcijaństwa (około 1000-nego roku) ulubiony motyw zdobniczy Wikingów, jakim są zwierzęta, pojawia się również w najstarszych drewnianych kościółkach. Chrześcijaństwo miało decydujący wpływ na rozwój sztuki norweskiej. Obok drewnianych kościołów powstają także wspaniałe bazyliki budowane przeważnie z kamienia. Na paryskiej wystawie pokazano m. in. piękny zabytek tej chrześcijańskiej sztuki. Jest to rzeźbiona w kamieniu głowa ludzka pochodząca z katedry w Trondheim.

Jak wiadomo, w średniowieczu Norwegia popadła w niewolę — najpierw szwedzką, a potem duńską. Jest to okres obcych wpływów w sztuce. W okresie tym jedynie rzeźba i malarstwo ludowe reprezentują rodzimą sztukę norweską. Do dziś dnia zresztą wśród ludu właśnie przechowały się jej najlepsze tradycje.

Według opinii paryskich recenzentów wystawa sztuki norweskiej jest dużym wydarzeniem kulturalnym. Ukazuje ona oryginalny, a mało znany i bardzo ciekawy świat artystyczny.

ODBUDOWA KATEDRY ŚW. STEFANA W WIEDNIU

Według orzeczeń fachowców starej wieży katedry św. Stefana w Wiedniu grozi zawalenie. Poważne uszkodzenia powstały na skutek działań wojennych i wpływów atmosferycznych. Konieczne jest natychmiastowe rozpoczęcie naprawy wieży. Koszty jednak tego remontu są bardzo wysokie, wyniosą bowiem około 15 milionów szylingów. Ponieważ rząd austriacki odmówił na ten cel wszelkich dotacji, odbudowa wieży zależy jedynie od ofiarności wiernych.

WYBITNY GRAFIK FRANCUSKI PRZYBYŁ DO POLSKI

Na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą przybył do Polski w dniu 27 marca wybitny grafik francuski Jean Effel.

„STRASZNY DWÓR" W KRAKOWSKIM STUDIO OPEROWYM

Studio Operowe krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej wystąpiło niedawno po raz pierwszy z operomontażem, obejmującym fragmenty „Strasznego Dworu" Moniuszki. Wykonawcami byli absolwenci i studenci wydziału wokalnego PWSM oraz hospitanci spoza uczelni. Dyrygował Jerzy Katlewicz. Występ odznaczał się wysokim poziomem, pod względem muzycznym dorównywał scenom zawodowym. Publiczność krakowska żywi nadzieję, że Studio Operowe, kierowane przez prof. Wł. Kaczmara i prof. A. Malewskiego, stanie się zalążkiem upragnionej od dawna prawdziwej opery.

o teatrze

„IMIENINY PANA DYREKTORA"

Prapremiera tej komedio-farsy Z. Skowrońskiego i J. Słotwińskiego cieszy się rekordowym powodzeniem w warszawskim Teatrze Powszechnym, a wkrótce wchodzi komedia na szereg dalszych scen. Oparte na częstych qui pro quo, odznacza się bogatym humorem słownym; liczne dowcipy celnie godzą w wielorakie bolączki naszego życia, przede wszystkim w styl pracy niedorosłych do swych zadań dyrektorów. Reżyseria Karola Borowskiego wzięła za podstawę osobowość aktorską odtwórcy roli tytułowej, Tadeusza Chmielewskiego, i rozwinęła spektakl w kierunku szerokiej, żywiołowej farsowości spod znaku Fertnera. Już dawno nie słyszeliśmy w naszych teatrach takich bomb śmiechu, jak na premierze w Powszechnym.

PARYSKA PREMIERA „RUY BLAS"

odbyła się w Théâtre National Populaire w inscenizacji i reżyserii Jean Vilara i stanowi wielki sukces tego przodującego obecnie, postępowego teatru. W swoich wrażeniach z premiery w nr 506 „Les Lettres Françaises", Elsa Triolet pisze, że dzieło Hugo wydawało się jakby dopiero co napisane i grane po raz pierwszy, a aleksandryn brzmiał równie naturalnie jak muzyka w operze. Również dekoracje C. Demangeat, oraz kreacje aktorskie (tytułowa — Gérard Philippe, Sallustiusz — Jean Deschamps, Don Cezar — Daniel Sorano, Królowa — Gaby Sylvia), choć czasem odchylające się nieco od właściwego stylu i epoki, wypadły nader interesująco.

NAWRÓT DO OPER WAGNEROWSKICH

znamienny jest dla ogółu teatrów muzycznych NRD. Ostatnio Opera Drezdeńska wystawiła „Walkirię" pod kierunkiem muzycznym laureata nagrody państwowej Franza Konwitschny'ego i w reżyserii A. Eichhorna, a Opera Berlińska z niemniejszym sukcesem „Śpiewaków norymberskich" pod dyrekcją Karola Bohma i w reżyserii H. Tietjensa. W operach wschodnioniemieckich sięga się coraz częściej po poszczególne części „Pierścienia Nibelungów", a sceny w Dessau, Rostocku i Schwerynie jeszcze w tym sezonie planują zamknięte cykle tego monumentalnego dzieła.

DO NAGRÓD STALINOWSKICH W DZIEDZINIE TEATRU

wysunięto następujące spektakle z roku 1953: „Anioł-stróż z Nebraski" Jakobsona (teatr w Tartu), „Łaźnia" Majakowskiego oraz „Gdzie ta ulica, gdzie ten dom" Dychowicznego i Słobodskiego (Moskiewski Teatr Satyry), „Wielka decyzja" Szejnina (Stalingrad), „Twierdza brzeska" Gubarewicza (Brześć), „Królewstwo mroku" L. Tołstoja (Kursk), „Maruder ze Strakonic" Tyla (Odessa).

UPADEK DRAMATURGII ZACHODNIO-NIEMIECKIEJ

stwierdził w styczniowym numerze pisma „Der Schriftsteller" przewodniczący zach.-niem. Związku Pisarzy Scenicznych, H. J. Rehfisch. Teatry zachodnich Niemiec grywają niemal wyłącznie klasyków oraz autorów obcych, dramaturgia współczesna wraz z jakąkolwiek ideologią, wyrażającą interesy narodu, nie dochodzi do głosu. „Żaden z grywanych niemieckich autorów czy kompozytorów scenicznych — stwierdził, narażając się na ostre ataki Rehfisch — nie jest w stanie wyżyć nawet skromnie z swoich dochodów dramatopisarza czy kompozytora. Wynik: Twórczość niemiecka powoli zanika".

o wszystkim

PROMOCJE DOKTORSKIE NA WYDZIALE TEOLOGII UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

W końcu marca na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się uroczysta promocja 7 księży magistrów teologii katolickiej na doktorów, a mianowicie 6 na doktorów teologii: ks. Adam Bakura, ks. Jan Jaworski, ks. Leon Grodzki, ks. Leon Róska i ks. Zygmunt Szustak; ks. Zygmunt Ruszczak natomiast promowany został na doktora prawa kanonicznego.

Uroczystości przewodniczył prorektor prof. dr Leon Kurowski, który wygłosił przemówienie gratulując Wydziałowi Teologii jego wspaniałych osiągnięć. Nowopromowanym księżom serdeczne życzenia złożył ks. dziekan dr Jan Czuj.

ZŁA SYTUACJA NA RYNKU WYDAWNICZYM WE WŁOSZECH

W prasie włoskiej pojawia się coraz więcej artykułów poświęconych analizie złej sytuacji na rynku wydawniczym. Przeciętna wysokość nakładu sięgała w r. 1953 zaledwie 3500 egzemplarzy. Wydano około 10.000 tytułów, to znaczy mniej — niż w r. 1938. Księgarze i bibliotekarze skarżą się na „konkurencję amerykańskiej szmiry".

ZALEW KSIĄŻEK ANGIELSKICH I AMERYKAŃSKICH W JUGOSŁAWII

Na konferencji pisarzy kroackich, która odbyła się ostatnio w Zagrzebiu, wielu mówców wystąpiło z ostrym protestem przeciw „przeciążeniu rynku wydawniczego kiepskimi przekładami kiepskiej literatury amerykańskiej i angielskiej". Poza tym mówcy skarżyli się, że w poszczególnych republikach związkowych książki sprzedawane są po różnych cenach: że pisarze właściwie nie mają żadnej gwarancji obrony swoich praw wobec wydawców. Rzuca to charakterystyczne światło na stosunki, panujące w Jugosławii titowskiej.

JEAN MALRIEU — LAUREATEM NAGRODY IM. APOLLINAIRE'A

Nagrodę im. Apollinaire'a za twórczość liryczną otrzymał młody poeta z Marsylii Jean Malrieu za tom „Préface à l'Amour". Pierwsze wiersze tego zbioru ukazały się w „Les Lettres Françaises" w r. 1950. Nieznanego jeszcze wówczas poetę odkryła popularna pisarka Elsa Triolet.